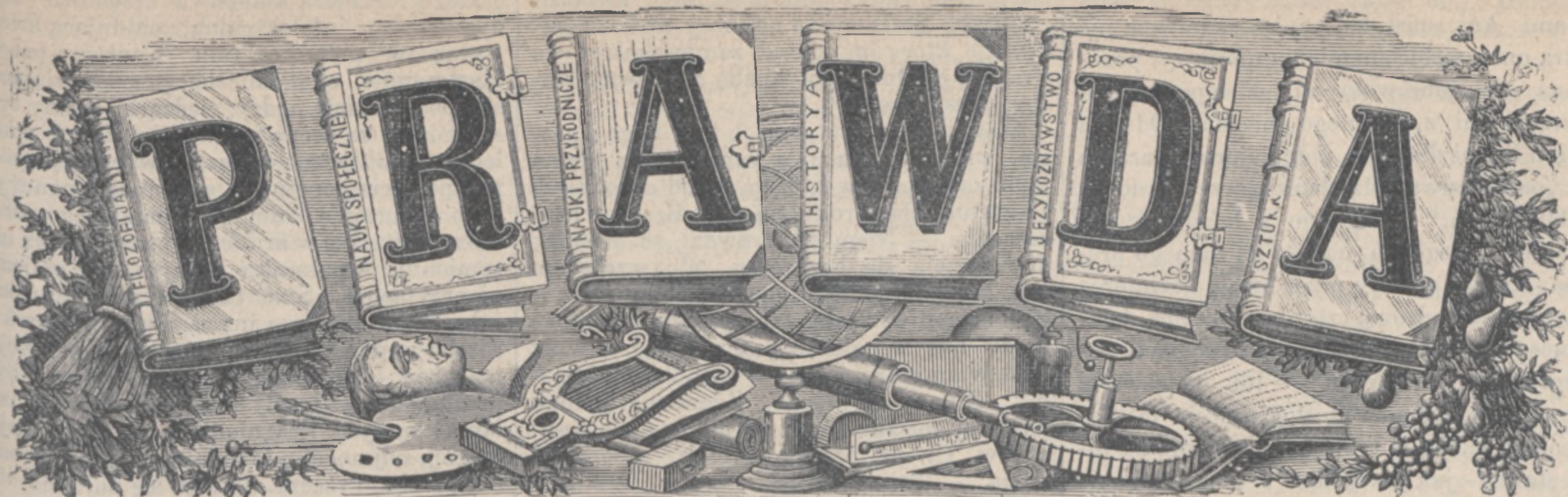
№ 22. Warszawa, dnia 28 (16) Maja 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Dzieło Morgana **Społeczeństwo pierwotne** wyszło z druku i za zwrotem kwitów prenumeracyjnych odebranem być może w Administracyi naszego pisma. Nabywcom prowincyonalnym wysłane zostało pocztą. Cena obecna rs. 4.

Uwaga. Stosownie do życzenia abonentów Prawdy, cenę dzieła Morgana dla nich pozostawiamy dawną, tj. rs. 3, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 50.

POLITYKA.

SPRAWY CZESKIE.

Żywioły liberalne i tem także różnią się od konserwatywnych, że surową krytykę stosują również do siebie, że nie kryją zdrożności własnego rodu, że nie piorą przyjacielsko swych splamień, że nie uprawiają tej żydowsko-ultramontańskiej taktyki, która każe bronić nawet kołowatej i zakażonej owcy swojego stada. To też w łamach *Prawdy* czytelnik niejednokrotnie spotykał ostre sądy o liberałach niemieckich i austryackich, których niegodziwość piętnowaliśmy bez skrupułu i wahania. I znowu dziś musimy dokonać tej przykrej operacyi.

Życie polityczne i umysłowe Czech rozłamało się, jak wszędzie, między dwa stronnictwa: „starych" i „młodych." Wiele zasadniczych różnic oddala nas od pierwszych, i wiele podobieństw zbliża do drugich a mimo to wyznać musimy, że rzadko gdzie żywioł postępowy przedstawia się tak politycznie zwyrodniałym, tak wstrętnym, bezmyślnie awanturniczym, jak w Czechach. Jeden z przywódców tej partyi, dr J. Gregr, redaktor *Narodnich listów*, debiutując przed kilku laty jako mówca w wiedeńskiej Radzie państwa, zarysował się tak pięknie, tak szlachetnie, że zarówno w jego osobie, jak w tej rzeszy, którą reprezentował, widzieliśmy rysy sympatycznej dzielności. Niestety, ten obiecujący szermierz w szybkich skokach spadł tak nizko, że zasłużył sobie na miano „ulicznika politycznego" a świeżo został wraz z kilku towarzyszami wyłączony z klubu. Krzykliwe gardło, nieczysty język, sączący jadowitą ślinę, mógłby nas wcale nie obchodzić, chociażby ta ślina rozmazywała się na kartach dziennika, mającego wielu czytelników. Ale dr Gregr jest herszetem i wyobrazicielem stronnictwa „młodoczechów," którzy oddychają jego uczuciami i hołdują głoszonym przez niego zasadom; trzeba więc go do światła przejrzeć. Postępowiec, demokrata, głosiciel szczytnych haseł cywilizacyi, wreszcie słowianin, w takie godła przystrojony przepuszcza ten jegomość wszystkimi kanałami swej gazety urągowiska i wymysły na polaków. Nie znając warunków ich życia albo zmyślając urojone, nastręcza on się ciągle „braciom" jako doradca a raczej oskarżyciel. Natura przedmiotów, na które wylewa się jego bezeceność i potwarz, nie pozwala nam dokonywać szczegółowego rozbioru; powiemy tylko, że więcej umiarkowania i sprawiedliwych wyroków dla siebie znaleźć możemy w *Nordd. Allg. Ztng.*, niż w *Narodnich listach.* Nie ma tak bolesnego nieszczęścia, tak widocznej krzywdy, tak ciężkiego brzemienia, wobec którego ten „ulicznik" nie gwizdałby nam urągań. Dzięki jemu chwilowo zacieśnione węzły pokrewieństwa plemiennego i wspólności dążeń, rozluźniły się między dwoma narodami i ze strony polskiej odzywają się coraz słuszniejsze wyrzuty czechom. Dodać należy, iż p. Gregr nie ogranicza się na Galicyi, lecz wybiega po za nią, ażeby słabym zęby pokazać a przed mocnymi ogonem pokręcić. W tych wycieczkach gubi on po kolei i liberalizm i słowianizm, zatrzymuje tylko burą szerść napastnika, śmiało rzucającego się na bezbronnych i roztropnie unikającego uzbrojonych. Z oddali trudno ściśle analizować jego umysł, zdaje nam się jednak, że go ożywia przedewszystkiem chęć wybijania się na wierzch wszelkim kosztem, bez wyboru środków. Mniejsza o grzechotkę skandalu, ale przykro nam patrzeć, jak odgłosy tej grzechotki przenikają do całego stronnictwa, które posiada wiele znamion sympatycznych i mogłoby wywrzeć głębszy wpływ na stosunki pobratymcze.

„Staroczesi" tę „łobuzeryę" polityczną znosili dość cierpliwie, wreszcie postanowili wziąć z nią rozbrat. Do klubu czeskiego w parlamencie austryackim należało również kilku „młodych." Nie zadawalając się walką w łonie koła, przenosili ją ciągle do prasy, a w ostatnich czasach zaczęli ujawniać takie szczegóły narad, które zarówno według statutu, jak dla interesu narodowego winny były pozostać osłonięte. Trudnił się tą żakieryą głównie p. Gregr, który zdradą tajemnicy klubu ugodził w Riegera, człowieka mającego swoje zapomniane i niezapomniane grzechy, ale bardzo szanowanego przez rodaków i ostatecznie najzdolniejszego ich przewodnika. Postępek ten wywołał oburzenie, gdyż nietylko ranił jednostkę cenioną, ale zapowiadał niemożliwość zachowania nadal koniecznej tajemnicy narad poufnych. Ażeby się pozbyć długich i złych języków, klub czeski rozwiązał się w składzie dotychczasowym i upoważnił Riegera do ustanowienia nowego. Naturalnie do tej nowej instytucyi młodoczesi nie zostali powołani i odtąd chodzić będą luzem. Zważywszy, że reprezentacya czeska nie może się łamać i musi występować łącznie jako grupa narodowa, ten rozdział, który rodzić będzie starcia, jest dla kraju szkodą dotkliwą. I stanowisko „mło-

doczechów" pokryje się wieloma trudnościami. Ani sofistyką, ani krzykactwem nie zetrą oni z siebie znamienia niesławy, pozostaną nie dobrowolnymi odstępcami, ale wyrzutkami z własnego gniazda. Odezwa klubu brzmi dla nich potępiająco. Zarzuca im „oszczerstwa," działanie „przeciw dobru publicznemu," „niezgodne z honorem" poselskim, „niegodną napaść na zacnego prezesa (Riegera), który przez swoją bezinteresowną, niestrudzoną, czterdziestoletnią działalność patryotyczną położył niespożyte zasługi względem narodu" — itd. Odezwa ta niewątpliwie zbudzi niechęć przeciw młodoczechom nawet w tych kołach, które za nimi stały — jak już widać z położonego na niej podpisu d-ra Trojana, który należał do tej grupy. Zresztą czesi przywiązywali zawsze wielką wagę do solidarności bodaj zewnętrznej swych przedstawicieli i na takie rozszczepienie się ich w widły sympatycznie patrzeć nie będą. Ponieważ zaś partya staroczeska jest i pozostanie silniejszą, nie ona więc ulegnie i do ustępstw się skłoni. Młodzi, jeśli nie chcą stracić kredytu moralnego w narodzie, który w dr. Riegerze czci zawsze „ukochanego przewódcę" i w znacznej części słuchać go nie przestanie, muszą uledz. Oby w tej kapitulacyi do tyla zmienili swój charakter polityczny, ażeby on nie przejawiał się łobuzeryą polityczną i posiewem smoczych zębów zarówno na niwie plemiennej, jak narodowej.

W EUROPIE — W AMERYCE.

Pagny, Schnaebele — Schnaebele, Pagny. Przez tydzień z górą dwa te nazwiska ludziom z ust, w dziennikach ze szpalt nie schodziły. Stał się bowiem fakt taki, że urzędnika francuskiego urzędnik niemiecki na grunt niemiecki zwabił a tam czyhało na osobę jego dwóch agentów policyjnych, którzy się na niego rzucili; on się im wydarł i za granicę francuską schronił; oni go na gruncie francuskim doścignęli, związali i zabrali. Stało się to na mocy rozkazu sądowego, który im polecał zamieszkałego we Francyi i pełniącego służbę rządową francuza aresztować.

Opowiedziane w sposób ten, nago i prosto, zdarzenie nasuwa samo przez się na myśl zapytanie: w którym to od narodzenia Chrystusa Pana roku żyjemy? Bezprawie — zasadzka — Niemcy. Prawda, że Niemcy dopuszczają się bezprawia, ale względem nas. My — dla jednych niepotrzebni, dla drugich szkodliwi i sami tak uracyonalnieni, że kiedy nas w policzek jeden walą, to wnet nastawiamy drugi — my w rachubę nie idziemy. Z nami co innego. Zdarzenie jednak powyżej opisane tyczy się nie nas, ale francuzów. Ci się przecie o siebie upomnieć mogą.

Dużo, dużo o tem zdarzeniu pisano, rozważając powody, które gabinet berliński do takiego „zapomnienia się" skłonić mogły. Zachodzi wszakże pytanie: czy zapomnieniem się to było?

Pytanie to ważniejszem jest, niż się na pozór zdaje, ze względu na wyszrubowanie przez Niemcy do stopnia najwyższego naprężenia stosunków w Europie. Gdzie jeno spojrzeć, wszędzie stosunki wyciągnięte są, jak struny na teorbanie. Społeczeństwa żyłowane wkładają oszczędności swoje w ilości coraz to większej na cele nieprodukcyjne i więżą je na wieki wieków, pozbawiając się w ten sposób rozporządzalności niemi wobec perspektywy spółzawodnictwa, jakiem Europie zagraża Ameryka na polu przemysłowości. Na polu tem dotychczas ona Europy nie wyprzedza jeszcze, lecz posiada kapitały rozporządzalne i ma ręce wolne — zapewnia to jej dochowanie tchu w wyścigach na długą metę. Europa dziś już bokami robi, posiadając twierdze, jakich oko ludzkości dawniej nie widziało, zapasy karabinów, z których możnaby ukuć pasek do opasania kuli ziemskiej na linii równika i liczbę dział, któremi możnaby wybrukować gościniec od Petersburga do Madrytu. Wartość tego jest żadna, pomimo że poszły na to miliardy — a ponieważ wartością mierzy się pożytek, znajduje się więc on w tych szeregach matematycznych, które charakteryzuje znak odjemny. Nie pożytek, ale szkodę sprawia ten stan rzeczy, jaki się ukształtował dzięki tryumfom pruskim — szkodę nam, wam, im, wszystkim, niemcom nawet — szkodę wszechstronną: moralną, o której świadczą kłamstwa urzędowe i sądy krzywe, intelektualną, znajdującą swój wyraz w policzkowaniu Kantów przez Hartmanów, ekonomiczną, przedstawiającą się pod postacią nędzy, pędzącej seciny tysięcy ludzi za ocean i minującej ustrój społeczny, polityczną wreszcie, wyrażającą się pod postacią pogotowia wojennego, panującego w Europie całej i zmieniającego państwa wszystkie w armie, stojące z bronią na ramieniu, w pakunku pełnym, w obliczu nieprzyjaciela. Stać tak wiecznie nie sposób. Stan taki trwa już za długo. Rzecz ku rozstrzygnieniu, to jest, ku wybuchowi wojny idzie — ku rozstrzygnieniu, które, rzecz prosta, gabinet każdy pragnie na swoją nałamać korzyść. Pragnieniu temu ulega najżywiej, najmocniej i najgorręcej sprawa obecnego stanu rzeczy. On też się najlepiej do wojny przysposobił.

Historya Europy w okresie, poczynającym się wojną duńską, a raczej, powstaniem polskiem — gdyby bowiem to ostatnie nie nastąpiło, wojny duńskiej by nie było — wyraża się całkowicie przez utrzymywanie i doskonalenie pogotowia wojennego. Wszystko inne wobec tego podrzędną odgrywa rolę. Francya wzięła się była do wychowania publicznego; musiała jednak tę piękną i pożyteczną czynność zawiesić dla szykowania na gwałt obrony. Nie ona jedna do tego zmuszoną została, gdy Niemcy stały się ogniskowym punktem napaści, urządzonej w sposób taki sam, w jaki dawniej urządzali się znani w dziejach Raubritterzy. Różnica polega na rozmiarach i wykończeniu. Zamki na skałach zmieniły się w warownie, noszące nazwę z jednej strony: Strasburga, Metzu, Moguncyi, Kolonii, z drugiej — Poznania, Torunia, Gdańska, Królewca. Dawniejsze rycerstwo czyhało na kupców i przejezdnych, dzisiejsze — na prowincye państw ościennych. Różnica zachodzi formalna tylko; istotnej, treściowej — nie ma.

Czyhanie tego rodzaju jest wyzywaniem do zaczepki, zaopatrzonej w warunki tej samej, co ono, natury. Powstał stąd system zaczepno-obronny, rozwinięty na wszystkich pograniczach, zwłaszcza zaś na granicy francusko-niemieckiej, niemiecko-rosyjskiej i rosyjsko - austryackiej. Rozpatrując się w szeregach twierdz i w sieciach łączących je linij strategicznych kolei żelaznych, widzimy kierunek naprężeń stosunków politycznych. Najsłabiej naprężenie przedstawia ...

---

2)

ZŁOCZYŃCA.

(SZKIC).

II.

Wasil dzwonił kajdanami na całej przestrzeni, oddzielającej wnętrze Syberyi od Podola, dzwonił niemi w ostrogu przez długi szereg dni; a jednak nie opłacił ani jednego tonu chrypliwych jęków, bo skazanym był do katorgi na całe życie.

Mijały lata, żadnego promyka, żadnej nadziei, a tam... na Podolu, strumyki szemrzą, ptaki świergocą, ryczą krowy, skaczą jagnięta, klekocą bociany... Choć raz by spojrzeć na te wszystkie cuda, zobaczyć Marylkę, popatrzyć na przeklęte jezioro — wszak panicza już wydobyto!..

Razu jednego stary Warnak *) dał mu pilnik... Więzy przepiłowano, umocowano dla niepoznaki kawałkiem powroza — zbrodniarze czekają sposobnej chwili — nadeszła... umknęli.

Jak łagodnie wiatr wiosenny muska oblicza! Jak rozkoszne uczucie iść dokąd się podoba i nie pchać przed sobą strasznej taczki; stawiać kroki bez oddźwięku kajdan; o świcie zamiast pobudki słuchać śpiewu ptactwa! Wasil zanurzał się w poczuciu swobody, oddychał całą piersią, obejmował drzewa, całował listki... lecz nie długo. W stepach baszkir zastrzelił starego prowodyra i pocwałował w dal. Wasil jęknął i jak szakal dwa dni szedł śladem końskich kopyt, nareszcie dotarł do celu... odemścił śmierć przyjaciela. Poczem, nieświadomy dróg i zmuszony głodem, zbliżył się do miejsc ludniejszych. Ujrzawszy pierwszą wieś, doczekał zmierzchu, zapukał do krańcowej chaty i poprosił o kawał chleba. Dano mu i przyjaźnie pozwolono przenocować na toku. Nocą jego czujne ucho usłyszało odgłos wielu stąpań; wyskoczył z zabudowania, ujrzał się osaczonym; odgadł zdradę, porwał leżący tuż na ziemi drąg — i nim zmiarkował co czyni, urzędnik, stojący przed nim, padł z roztrzaskaną głową.

Wasil napróżno się bronił, napróżno zadawał ciosy — skrępowano go i odwieziono napowrót.

Jakież okropne przeniósł męczarnie! Żelazna siła zbrodniarza nie złamała się, poczucie swobody nie umarło. Z każdym stopniem wracającego zdrowia postępował zamiar ucieczki. Trzy lata czekał więzień sposobnej pory — nareszcie doczekał...

Nocą wpadł do zdradzieckiej wsi, podpalił niegościnny dom, wydusił jego mieszkańców i oświecony płomieniem, prześladowany klątwą wylękłych włościan, uciekł. Biegł bez odetchnienia całe noce, dniami kryjąc się w gąszczach lasu. Tak dotarł do Uralu. Byle przejść góry, byle dosięgnąć Wołgi! Tam zaś jako flisak, pątnik, lub najmita, spieszący na zarobek do miasta, przyjdzie aż na Podole i zobaczy... wszystko zobaczy — a potem?.. Potem niech się dzieje, co chce.

Nie dotarł. Pojmano go na Uralu.

—o—

Odtąd imię zbrodniarza stało się postrachem dla okolicznych wiosek. Prawda, teraz minęły dobre czasy, kiedy rozpierzchli mieszkańcy Syberyi przed nocą kładli za oknem chleb dla włóczęgi; teraz wsie ludniejsze i straż czujniejsza; a jednak nikt nie chciał, żeby Wasil znów się wyrwał i zawitał do jakiejś wioski. Przesadzony rozgłos przedstawiał go zabójcą, mordującym dla widoku krwi; zwierzęciem, w którym nie ma miejsca żadne ludzkie uczucie. Zbrodniarze, chełpiąc się z towarzysza, żołnierze dozorujący, żaląc się na swą katorżną służbę, powiększali straszną sławę złoczyńcy.

Naraz gruchnęła wieść, że Wasil znów się wymknął. Bliższe wsie uzbroiły się w drągi i zaprowadziły kolejną straż nocną. Podróżni, obładowani rewolwerami, polecali Bogu ducha; lecz Wasil jakby wpadł w wodę. Trzy tygodnie minęło i nikt o nim nic słyszał. Uspokojono się potroszę i zawy-

*) Warnak — złoczyńca, nazwa miejscowa.

wia się na tych liniach, na których się Niemcy stykają z Austryą. Austrya, oskrzydlona od północy i od zachodu, otwarta dla Prusaków, sasów i bawarów, wystawiona na utratę od jednego zamachu Czech, nie pomyślała o przysposobieniu w razie napaści odporu seryo. Stare jej warownie nie wytrzymałyby parugodzinowego strzelania z dział nowego systemu. Toż samo widzimy w Niemczech. W Bawaryi klasyczny Ulm nie przeciwko Austryi wznosi swoje blanki i obracające się na osiach wieże; w Saksonii fortec nie ma; na Szlązku pruskim doniosłość wojenna Kladzka (Glatz) i Nissy (Neisse) nie o wiele jest większą, niż Josefstadtów i Königgratzów. W oczy się niemal rzuca, że dwa te mocarstwa pozostają w porozumieniu, idącem szczególnie, jak wszelkie podobnego rodzaju porozumienia, na korzyść mocniejszego i że prym w naprężeniu stosunków, wymagającem ścisłego, literalnego a spotęgowanego stosowania reguły, *si vis pacem para bellum*, prowadzi gabinet berliński.

Wątpliwości nie ulega, że Prusy pragnęłyby pokój zapewnić, pod warunkiem atoli takim, na który się wielkie mocarstwa zgodzić nie mogą, pragnęłyby bowiem wraz z pokojem zapewnić sobie hegemonię w rzeszy państw europejskich. Byłoby to rzeczą możliwą, gdyby nie jedno wielkie niepowodzenie, jakie je spotkało w rachubach politycznych. Zabrały one Francyi dwie prowincye ze Strasburgiem i Metzem i zniewoliły ją do zapłacenia pięciomiliardowej kontrybucyi na to, ażeby ją w stan bezkrwistości wiekuistej wprawić; nie przeszkodziły jej republikańskiej formy rządu przyjąć dlatego, że liczyły, iż forma ta wszczepi w nią anarchię, która ją wiekuiście trawić będzie. Anemia i anarchia z jednej strony, z drugiej posłuszeństwo austryackie były to warunki, przy których możliwem się stawało: i zapewnienie Europie dobrodziejstw pokoju i zaokrąglanie na drodze pokojowej cesarstwa zaborami drobiazgów takich, jak Hollandya itp. Rachuba ta w r. 1871 wydawała się nieomylną. Czyż było rzeczą przypuszczalną, ażeby po klęskach takich, po wyżyłowaniu się takiem i po utracie postronków obronnych, Francya dźwignąć się zdołała? Dźwignęła się jednak i we względzie zaczepno-odpornym stanęła z Niemcami zupełnie na równi. *Paratio belli* w Niemczech wywołało *paratio belli* we Francyi. Na drodze tej nastąpiły wyścigi i sprowadziły ten rezultat, że z Niemcami Francya razem doszła do mety. Rachunek wypadł fałszywie, wykazując potrzebę ciągnienia wyścigów dalej i dalej — dopóki?.. Pytanie to tem jest frasobliwsze, że Niemcy widocznie bokami robią, albowiem, ręce o ratunek wyciągając do papieża, muszą, celem zapewnienia sobie kredytu na niszczenie polaków i mnożenie wojska, obmyślać nowe źródła dochodów. Tak jednak trwać nie może. Nowe źródła dochodów (cła, wódka, tytoń itd.) nowymi ciężarami ekonomicznymi obarczą kraj i wyczerpią się na uzbrojenia. No — a dalej?.. Ręczyć nie można, ażeby Francya i tego nie przetrzymała. Jeżeli przetrzyma, więc — co?.. Rachuby na anemię i anarchię zawiodły i sprowadziły potrzebę rozprawy orężnej.

Do tego, dzięki głębokim wielkiego męża stanu kombinacyom doszło, że Niemcy na gwałt potrzebują wojny. Wojny — wojny! — wojny!!...

Potrzebują, naturalnie, wojny zwycięzkiej, to jest, takiej, w którejby szanse powodzenia z góry po ich znajdowały się stronie. Pragną przeto: z Francyą się zmierzyć, znów ją pobić i tak osłabić, ażeby palcem kiwnąć na przyszłość w stanie nie była. Wedle obrachowań ścisłych, opartych na fortecach, liniach obronnych, komunikacyach strategicznych, ilości siły zbrojnej i gatunku oręża, pragnieniu temu zadość stać się może pod warunkiem, ażeby Francya zaczepiła pierwsza. Ot.

Do tego to się odnosi awantura ze Schnaebelem.

Było to — to, co nosi nazwę prowokacyi. Tego rodzaju sposoby wywołały wojnę z Austryą (1866) i z Francyą (1870). Ta ostatnia zażegnaną już była — już się Hohenzollern zrzekł był do tronu hiszpańskiego pretensyi i dyplomacya winszowała sobie udobrodziejstwowania ludzkości pokojem, gdy się w Wiesbaden król pruski do ambasadora francuskiego obrócił tyłem. Czyn ten zniweczył wszystkie usiłowania pokojowe. Wojna, jedna z najstraszniejszych w dziejach, strzeliła z odwrotnej monarchy pruskiego strony. Francya uczuła się obrażoną na honorze, w obronie którego stanęła — wywała — zaczepiła.

— Nic myśmy nie zaczepili...— tłomaczył się i dotychczas tłomaczy gabinet berliński.

I ma racyę. Cóż to bowiem za zaczepka, odwrócenie oblicza w porównaniu z deklaracyą wojny? Powiodło się wszelako. Opierając się na doświadczeniu tem, podobną drogą gabinet berliński próbuje znów wywabić Francyę na punkt honoru.

Czy się jednak — nie zawiedzie tym razem?

Słuszną, godziwą i zupełną honorowi narodowemu satysfakcyę czyniącą odpowiedzią, w r. 1870, na obelgę wiesbadeńską byłoby: odwrócenie się tyłem cesarza francuzów do ambasadora pruskiego. Jak się zdaje, rząd obecny francuski wziął przed się postanowienie na tej, nie na innej drodze zadośćuczynienia obraz honorowych poszukiwać. Oko za oko, ząb za ząb — policzek za policzek, ale nadto nic, albo raczej, w dodatku do tego, pełno oświadczeń grzeczności i uprzejmości sąsiedzkiej, tłomaczących się w sposób następujący: „Czekamy na ciebie, miły sąsiedzie, na naszych śmieciskach, śród naszych twierdz, obozów oszańcowanych i z góry przysposobionych pozycyj bojowych — będziemy ci radzi.“ Wygląda to tak, jakby dwa pająki jeden na drugiego siecie nastawiły w tym celu, ażeby jeden z nich wziął na siebie muchy głupiej rolę. W Paryżu znaleźli się tacy, co gotowi byli dać się złapać. Na szczęście swoje Francya pozbyła się stróżów honoru narodowego tego, co Napoleon III, Eugienia i im podobni, kalibru i, jeżeli się znów w nich nie ubierze, w razie takim — wojna nastąpi, bo nastąpić musi, ale nie przez Francyę wywołana.

Smutna to, doprawdy i w wysokim stopniu dla Europy przy końcu XIX w. upokarzająca dola, ta perspektywa wojny, podszytej — czem?... O co chodzi?.. Odsuwając na bok wszystkie na temat honoru, interesów politycznych, obowiązków dziejowych, rasowych, religijnych i inne sensu pozbawione rozumowania gazeciarskie, pozostaje nie co innego, jeno: grabież. Grabież, przy akompaniamencie muzyk wojskowych i wrzawy publicznej, nie idzie o co innego. O, jakże wobec tego inaczej przedstawia się dziecko Europy, druga półkula! Podczas kiedy wszystkie parlamenty europejskie wotują na wyścigi kredyty ogromne a coraz to większe na uzbrojenia, kongres Stanów Zjednoczonych powołany został do obradowania nad kwestyą usunięcia wojny raz na zawsze z Ameryki. Dzienniki podają w tym przedmiocie list, z d. 11 kwietnia 1887 r., do p. Cleveland, prezydenta Stanów Zjednoczonych. List ten, podpisany

---

rokowano, że albo zginął, albo przedarł się za Ural.

III.

Sioła Syberyi leżą grupami: środowiskiem każdej większej grupy bywa miasto, mniejszej — *tajga*. Im dalej od ognisk, tem wsie rzadsze. Dwie sąsiednie grupy niekiedy się łączą, lecz częstokroć je przerywa przestrzeń wielu mil.

Wieś „Nowa“ składała się z kilkudziesięciu zabudowań i leżąc w szerokim parowie, jednym końcem dotykała rzeki, drugim zmierzała ku odwiecznej puszczy, która zaczynając się o parę wiorst za wsią, ciągnęła ku dalekiej północy i ginęła gdzieś... aż w *tundrach*.

Dom zarządu włościańskiego stał nad parowem, opodal od chat kmiecych; myślałbyś, że reprezentując władzę, wstydzi się mieszać z motłochem... Zresztą sama jego postawa wskazywała pewną pychę. Dom karczemny zsunął się z krawędzi i przyczaił się do boku parowu — tuż naprzeciw domu zarządu. Jego postać zdradzała czyhającego na przechodniów złoczyńcę, który dla zamaskowania swych zamiarów udaje schorzałego nędzarza: nalepił tedy na swe niezmierną ilość błotnistych plastrów, zgiął się, a głowę okrył taką szeroką czapką, że dozorca — dom zarządu — patrzący nań czujnie ze swego wysokiego stanowiska, widział tylko to mizerne okrycie; co się zaś działo wewnątrz zdrajcy, ani się domyślał; nie widział też zachęcających mrugań jego ropliwych oczu, które wabiły prostodusznych kmieci, obiecując im schronienie i pociechę.

—o—

Wieczór był mglisty i ciemny. Wiatr południowo-zachodni niósł wieści o blizkiej wiośnie, lecz spotykając skrzepłe grunta, żałował krainy, którą opuścił, więc w posępnej zadumie szeptał trwożliwe skargi. Dom zarządu, okryty mgłą, drzemał—i tylko jednym okienkiem zdradzając czujność, zerkał z ukosa przez szczeliny okiennic na karczmę. Być może niepokoił się tem, że stróż z żoną nie wracają tak długo; ani się domyślał, że hulają z sąsiadami i powrócą chyba zrana.

W narożnej izdebce domu Rydel, pisarz włościański, przechadzał się w głębokiem zamyśleniu. Wyobraźnia przeniosła go daleko nad brzegi Worskli, do małego dworku, do cichej izdebki, gdzie staruszka, siedząc przy kądzieli, szepcze pacierz, a starzec przy mdłym blasku świecy czyta historyę wielkich ludów. I oto zarysowuje się postać rzymskiej Kornelii — staruszka patrzy na dziecię skulone u jej nóg i drży cała... Ha! wszystko to było tak niedawno! Napróżno rozum twierdzi Rydlowi, że to się działo bardzo dawno, że staruszkowie już przeszli do wieczności, a dom zgnił do szczętu, uczucie nie chciało się zgodzić...

W tem, ktoś zapukał do okna. Rydel przystanął, posłuchał i wyszedł na podwórze.

— Kto tu? — zapytał.

Z za węgla wysunęła się duża postać.

— Podróżny...—proszę o kawał chleba.

— Wejdź — rzekł pisarz, posuwając się ku drzwiom.

— Nie mogę, bo mnie zatrzymacie na nocleg — z ponurym żartem odparł gość.

— Nie zatrzymamy, jestem sam w całym domu z ośmioletnią córeczką stróża, więc nie masz się czego obawiać. Zresztą gdyby i stróż nadszedł z żoną, zdaje się, że nie poradzimy ci.

— Ja się nie obawiam — rzekł podróżny wchodząc i ryglując za sobą zewnętrzne drzwi — lecz chciałbym, żeby mnie nikt nie widział.

Gospodarz i gość spojrzeli wzajem na siebie. Każdy z nich widział w drugim ciekawe zjawisko. Rydel był małym, suchym; jasne, miękkie włosy gładko leżały na czole; blada, ściągła twarz wyrażała głęboki smutek i tylko iskrzące się duże, błękitne oczy czegoś się gniewały, coś dziwnego mówiły... Podróżny natomiast był barczysty, rosły; włosy czarne, gęste gmatwały się, strzępiły i pokrywały nietylko głowę, lecz i całą twarz, nadając jej wyraz dziki, odrażający. Małe, czarne źrenice niespokojnie błądząc dokoła, chwilami rzucały z pod gęstych rzęs złowieszcze iskierki... Rydel przy-

przez Karola Lemonnier, przytaczam w całości:

„Panie Prezydencie! Z wielkiem zadowoleniem dowiadujemy się, że kongresowi Stanów Zjednoczonych przedstawiono dziewięć bilów (projektów do prawa), żądających zgodnie porozumienia się rządu waszego z innemi Ameryki północnej i południowej państwami co do ustanowienia trybunału międzynarodowego dla orzekania ostatecznie w zajściach, zdarzać się mogących w przyszłości, bądź pomiędzy państwami temi a Stanami Zjednoczonemi, bądź pomiędzy państwami różnemi, bez względu na formę ich rządów. Bezmiernem byłoby dobrodziejstwo konwencyi podobnej. Obszerne dwóch Ameryk ziemie zażyłyby pokoju; bezpieczeństwo, jakiem się cieszą Stany Zjednoczone, stałoby się udziałem całego lądu; ludność, przechodząca już trzysta milionów głów a powiększająca się codziennie, osłonięta na zawsze od okropieństw wojny, wprowadzoną by została w posiadanie niezliczonych korzyści pokoju. Byłoby to dla narodów starej Europy, nieustających w znieważaniu historyi dzikiem uzbrojeń swoich szaleństwem, przykładem, znakiem, rzec można, ostrzeżeniem, albowiem ostatecznie przewaga przechylić się musi na stronę pokój miłujących. Mamy silną nadzieję, że, wierny tradycyi Pennów, Washingtonów, Bolivarów i bliższych poprzedników swoich, wesprzesz potężnem uznaniem swojem dzieło, które nie jest tylko amerykańskiem, lecz powszechnem i które nazwać można ludzkiem przeważnie.“

Karol Lemonnier jest jednym z pionierów, torujących, przy chrzęście i szczęku przygotowań wojennych, drogę pokojowi.

T. T. Jeż.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nie różami zasłane stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej; z godnością wytrwać na niem może tylko taki poczciwy staruszek, jak Grévy. Dziwna bo to rola, wymagająca zupełnej bierności w rządach a energii w uciszaniu burz, które ustawicznie miotają nawą państwa. Od kilkunastu dni jeden gabinet ustąpił, a drugiego jeszcze nie sklejono. Wszyscy dotąd wezwani kandydaci cofają się przed trudnem zadaniem rządzenia z Izbą, połamaną na mnóstwo stronnictw, nienawidzących się wzajemnie i niezdolnych stworzyć trwałej większości. W państwie, oddanem wyłącznie pracy pokojowej, nie byłby to objaw groźny; ale w militarnem, pragnącem zachować powagę i siłę zewnętrzną, stojącem wobec strasznego wroga i żywiącem zamiary odwetowe — to wieczne bezgłowie jest niedolą ciężką. Świeże odkrycia i ogłoszone dowody piśmienne przez gen. Leflô (b. przedstawiciela Francyi w Petersburgu) wykazują nietylko, jak blizką była napaść ze strony Niemiec w r. 1875 — napaść, którą powstrzymała Rosya, ale także, jak możliwem jest ciągle starcie niemiecko-francuskie. Podobno ważną przeszkodę w utworzeniu nowego ministeryum stanowi gen. Boulanger, którego jedni chcieliby koniecznie zachować, inni usunąć. Bądź co bądź, niechęć ludzi zdolnych i doświadczonych do przyjęcia władzy pomimo całego jej uroku jest faktem bardzo smutnego znaczenia, bo wykazuje niezdolność Francyi do osiągnięcia tych celów, które ona sama sobie stawia i które jej inne narody wyznaczają.

Anglia, kując jedną ręką miecz na Irlandyę, drugą spisała układ z Turcyą w sprawie Egiptu, wyłączający inne mocarstwa od praw do tej „spuścizny po chorym człowieku,“ a przedewszystkiem najbardziej zainteresowaną sąsiadkę. Brak ciągłości w polityce zagranicznej Francyi znacznie ułatwił gabinetowi angielskiemu tę tranzakcyę, która wprawdzie zobowiązuje go do wycofania wojsk z Egiptu przez lat trzy, ale zawiera tyle furtek, że przez nie po owym terminie „business“ łatwo się prześliźnie.

Przyciśnięty do muru prezes ministrów węgierskich Tisza odpowiedział na interpelacyę w przedmiocie zajęcia Bośnii i Hercegowiny oraz sporu, wywołanego przez *Nordd. Allg. Ztng.* Naturalnie utoczył on tak swoje słowa, ażeby z nich nie wylazło nic więcej nad to, co już ujawniono i ażeby tułów lisa pozostał w norze, z której wygląda tylko jego oblicze. *Journ. de St. Peters.* zauważył, że Tisza przedstawił rzecz jednostronnie; on sam niezupełność swych objaśnień przyznał.

Rozruchy w Belgii przybrały groźny charakter i ogarnęły kraj cały. Gromady robotnicze występują zaczepnie, niszcząc ślepo wszystko, co zniszczyć można, i śmiało stawiąc się wojsku. Pomimo zaaresztowania we Francyi głównego ich podżegacza, natężenie buntu nie słabnie a państwa sąsiednie obawiają się, ażeby pożar rewolucyi do nich nie przerzucił swych iskier.

Porta rozesłała do mocarstw okólnik, żądający załatwienia kwestyi bułgarskiej. Naturalnie odezwa ta, jak tyle poprzednich, pozostanie bez skutku, dopóki bałkański owoc kongresu berlińskiego „nie dojrzeje.“ Regenci tymczasem radzą sobie, jak mogą, i zamierzają wyznaczyć nowe wybory do sobrania.

Cesarzowi niemieckiemu odradzono wyjazd do Gasteinu; jego syn, następca tronu, musiał poddać się wycięciu polipa w gardle. Choroba musi być poważną, skoro aż sprowadzono słynnego chirurga angielskiego Mackenziego. Na Hohenzollernów zaczyna spadać niepowodzenie.

Cesarz austryacki radby odwiedzić królowę Wiktoryę, ale nie może, bo mu nie pozwalają różne względy wobec innych dworów.

Najjaśniejsi państwo wyjechali do Nowoczerkaska.

Prawit. Wiestnik donosi:

Z rozkazu Najwyższego sprawa ujawnionego w d. 1 (13) marca zamachu na życie Świętej Osoby Najjaśniejszego Pana oddana została do rozstrzygnięcia osobnemu składowi Senatu z udziałem przedstawicieli stanów. Jako winni stanęli przed sądem b. studenci uniwersytetu petersburskiego: Wasili Generałow, Pahomij Andrejuszkin, Wasili Osipanow, Michał Kanczer, Piotr Gorkun, Piotr Szewyrew, Aleksander Uljanow, Bronisław Piłsudzki, Józef Łukaszewicz, Stefan Wołochow, Tytus Paszkowski, Michał Noworuskij; akuszerki: Marya Ananina i Rebeka Szmitowa, wreszcie Anna Serdiukowa. Wszyscy, oprócz ostatniej, skazani zostali na śmierć przez powieszenie, skutkiem jednak łaski Monarszej wyrok utrzymano i wykonano 8 (20) maja tylko na: Generałowie, Andrejuszkinie, Osipanowie, Szewyrewie i Uljanowie, innym zamieniono karę na roboty ciężkie.

— Ogłoszony został ukaz do Senatu w przedmiocie nabywania przez cudzoziemców majątków nieruchomych na własność lub na czasowe posiadanie i użytkowanie w guberniach Królestwa Polskiego i niektórych Zachodnich: a mianowicie w Bessarabskiej, Wileńskiej, Witebskiej,

---

pomniał, że wilcze ślepie jesienną nocą tak zerkają z zarośli.

Gospodarz był ubrany schludnie; gość — cały w łachmanach — wyglądał na włóczęgę; za pasem połyskiwał mu topór.

Po chwili badania pisarz opamiętał się, poszedł do spiżarni, skąd przyniósł mięsa i chleba. Włóczęga ujrzawszy strawę, prawie gwałtem wyrwał ją z rąk jego i żarłocznie jeść zaczął. Rydel z łagodnym uśmiechem postawił na stole butelkę wódki i poszedł do przyległego pokoju po kieliszek; lecz nim wrócił, wódki już nie było: pusta butelka i błyszczące zadowoleniem źrenice włóczęgi wskazywały, że wypił ją jednym tchem... i znowu, rwąc w rękach mięso i chleb, jadł bez przerwy. Nareszcie skończył, przeżegnał się i krótko wyrzekł: dziękuję.

— Nie warto podziękowania — rzekł Rydel. Za wiele wódki wypiłeś, radziłbym spieszyć z odejściem, lada chwila stróż może wrócić — podobno także podpije, więc możecie tutaj burdę wyprawić, a to się mnie wcale nie podoba.

Podróżny uznał na chwilę słuszność uwagi, lecz pod wpływem wódki odpowiedział hardo:

— Zechcę — pójdę, zechcę — zostanę; cóż wy mnie zrobicie?

— Nic ci nie zrobimy — spokojnie mówił Rydel, stojąc przed włóczęgą i zwracając na niego duże, jasne oczy — ale myślę, że ci samemu na tem zależy, żeby odejść spokojnie. Pamiętaj, że lada wołanie może być usłyszane we wsi. Zresztą, może się mylę, może pod wilczą skórą jesteś barankiem i nie lękasz się władzy.

Gość skoczył z miejsca i ściskając w ogromnej dłoni rękojeść topora, groźnie zawołał:

— Straszysz mnie policyą!.. Chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia. Ja potrafię się zemścić.

Rydel uśmiechnął się obojętnie:

— Nie straszę, lecz ostrzegam. Dałem ci wódki, nie przewidując, że się stanie to, co się stało; człek zgłodniały po wypiciu prędko pamięć traci... więc póki masz dość siły, idź do lasu i prześpij się.

Gospodarz mówił łagodnie i przekonywająco, lecz gość z każdą chwilą tracił świadomość i stawał się gwałtowniejszym.

— Nikt mnie nie dotknie! Czy słyszałeś kiedy, jak Wasil rozprawia się z wrogami? Co mnie obchodzi twoja wieś?.. Zrobię z niej stos i będę ręce ogrzewał przy płomieniu.

Roześmiał się dziko, złośliwie i błysnął wilczym wzrokiem; lecz spotkawszy zadumane, spokojne wejrzenie, stropił się i spuścił oczy.

— Po co na mnie tak patrzysz!.. Czego ci trzeba? — wołał, zapalając się znowu — wielka osoba — pisarz włościański! Ja sam mógłbym być sołtysem, żeby nie ten przeklęty karczmarz.

Język zaczął mu się plątać, słowa stawały się coraz mniej zrozumiałe, oddzielne wyrazy: sołtys... panicz... Marylka... pieniądze... wyrywały się niekiedy wyraźniej, nareszcie już tylko bełkotał... zatoczył się, padł pod stół i w jednej chwili zasnął.

Rydel przez chwilę się namyślał; ujął włóczęgę za ogromne ramiona i powlókł do przyległego pokoiku. Tu silił się podnieść go i położyć na posłanie, lecz nie zdołał, więc rzucił poduszkę na ziemię pod głowę włóczęgi, zmoczył ręcznik wodą i położył mu na czoło. Wrócił do naróżnej izdebki zmęczony, na twarz wystąpiły sine rumieńce, oddychał ciężko.

— Wasil, złoczyńca — myślał — to ten sam, który narobił tyle zła w sąsiedniej wsi; domyślałem się, że to on... zresztą łatwo się przekonać: we wczorajszym okólniku jest dokładny opis.

Poszedł do kancelaryi, wziął ze stołu papier i czytał: „Dzisiaj umknął z katorgi ważny przestępca — Wasil; każdy, kto spotka, powinien go zatrzymać; kto się dowie o nim, powinien wczas zawiadomić władzę. Ktoby dał mu schronienie lub strawę, podlega odpowiedzialności według prawa.“ Dalej ciągnął się opis postaci i rysów złoczyńcy.

— Tak, tak — rzekł Rydel do siebie — bezwątpienia to on; licho mi nadało upoić go...

Przeszedłszy do swego pokoju, zadumał się... Zapomniał o przestępcy.. przeniósł się

Wołyńskiej, Grodzieńskiej, Kijowskiej, Kowieńskiej, Kurlandzkiej, Inflanckiej, Mińskiej i Podolskiej. Cudzoziemcy, obcy poddani, nie będą mogli po za obrębem portowych i innych miejskich osad nabywać własności nieruchomych, ani też wogóle prawa posiadania i użytkowania z nich oddzielnego od prawa własności, w szczególności zaś prawa, wynikającego z umów o wynajem i dzierżawę w Królestwie Polskiem. Zabrania się też obcym poddanym zarządzanie majątkami po za obrębem miejskich osad, w charakterze plenipotentów lub rządców. Ograniczenie to praw obcych poddanych nie stosuje się do najmu domów, pomieszkań i willi. Obcy poddani będą mogli zabezpieczać sobie prawo pierwszeństwa dla swoich wierzytelności przez obejmowanie w zastaw majątku nieruchomego; lecz zabezpieczenia takie nie mogą za sobą nabycia na własność pociągać. Dziedziczenie podług prawa w prostej wstępnej linii, jako też między małżonkami, dozwala się na zasadzie obowiązującej, jeżeli dziedziczyć mająca osoba osiedliła się w Rosyi przed wydaniem niniejszego ukazu; w innych zaś wszelkich wypadkach, a także w razie dziedziczenia z zapisu testamentowego, obowiązanym będzie cudzoziemiec sprzedać majątek w ciągu lat trzech poddanemu rosyjskiemu; inaczej majątek ten zostanie zasekwestrowany, i przez licytacyę sprzedany, a otrzymana ze sprzedaży suma dziedziczącej osobie doręczy się. Umowy terminowe (w przedmiocie majątków nieruchomych) nie mogą być wznawiane (na rzecz obcych poddanych) ani prolongowane. Moc obowiązująca niniejszych postanowień rozciąga się i do stowarzyszeń handlowych i przemysłowych (cudzoziemskich).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Paryż, 20 maja.

Wybory do rady miejskiej Paryża. — Ich wynik obecny. — Charakterystyka stronnictw. — Paryż — Francya w miniaturze.

W połowie bieżącego miesiąca odbyły się nowe wybory do paryzkiej Rady miejskiej. Zasługują one na uwagę, jako wyraz publicznego życia wielkiej gminy, której znaczenie i wpływy nie kończą się za rogatkami. Któż nie wie, że stolica nadsekwańska jest wielkim tyglem, w którym wyrabiają się, gotują i smażą dążenia, prądy i idee, poruszające dziś światem cywilizowanym. Paryż przytem jest Francyą w miniaturze. Nie należy sądzić, że różnica między grodem stołecznym a prowincyą francuską jest zbyt znaczną. Paryż przedewszystkiem posiada wielki wpływ w kraju, który na obraz swój i podobieństwo urabia; następnie — warunki są mniej więcej te same, jednakie obiegają idee i prądy, różnice więc nie mogą być znaczne. Dotyczą też one głównie stopnia rozwoju. Co w Paryżu dziś już dojrzało, to jutro dojrzeje we Francyi.

Przyjrzyjmy się przedewszystkiem składowi Rady. Przedstawicielstwo to licznem nie jest. Paryż, który pod względem zaludnienia równa się księstwu bułgarskiemu, a przewyższa o wiele królestwo serbskie, wysyła na ratusz 80 rajców, wybieranych przez głosowanie powszechne. W liczbie tej istnieją cztery główne stronnictwa: monarchiczno - konserwatywne, republikańsko-oportunistyczne, radykalno - autonomiczne i socyalistyczno-rewolucyjne. Po odbytych obecnie wyborach pierwsze ma 11 przedstawicieli, drugie 13, trzecie 45, czwarte 11. W porównaniu z poprzednimi z 1884 roku konserwatyści zyskali jeden głos, oportuniści stracili piętnaście, z czego radykalni i socyaliści zyskali po siedem nowych głosów.

Monarchiści, jak widzimy, nietylko nic nie stracili, lecz nawet jeden głos nowy zyskali — nie dowodzi to jednak wzrostu zwolenników pretendentów wydalonych. Fakt ów tłomaczy się tem, że stronnictwo odbywa rozwój w kierunku konserwatywnym *sans phrase* i narasta odpadkami rozkładającej się partyi „republikańskiej,“ czyli oportunistów. Jeżeli przyjrzymy się bliżej oddanym głosom, objaw ten bardziej nam się jeszcze uwydatni. Przy wyborach w roku 1884 oddano na monarchistów 34,820 głosów; przy pierwszem głosowaniu w roku bieżącym 48,041. W poszczególnych rubrykach można też było zauważyć, zwłaszcza przy drugiem głosowaniu, że wszędzie tam, gdzie kandydat oportunistów tracił nadzieję zwycięztwa w nierównej walce z współzawodnikiem radykalnym, liczba głosów monarchiczno - konserwatywnych wzrastała. Oportunizm dzieli los wszelkich kierunków pośrednich, eklektycznych, umiarkowanych bez wyraźnego programu — zanika. Fakt ten znanym jest i w biologii pod postacią wyginania gatunków i odmian pośrednich, hybrydów. Oportuniści stali się właściwie republikańskiem stronnictwem konserwatywnem, mimo że z pochodzenia byli radykałami. To uczyniło ich niezdecydowanymi, chwiejnymi i bezczynnymi, pod tak zaś wygodną chorągiew schroniło się wielu karyerowiczów i spekulantów, którzy wmieszali się w życie publiczne tylko dla wyrachowań osobistych, często bardzo nieczystej natury. W całej zresztą Francyi oportuniści tracą grunt pod nogami i trzymają się tam tylko, gdzie są podpierani przez republikańską koalicyę, walczącą z wpływami monarchiczno-konserwatywnymi. Na gruzach rozkładających się stronnictw: czysto-monarchicznego i oportunistyczno-republikańskiego ukażą się niebawem nowe ugrupowania, które nie pozostaną bez wpływu na dalsze losy Rzeczypospolitej. Jesteśmy właśnie w przededniu tych zmian. W obawie przed wzrastającym w liczbę i głosy radykalizmem, monarchiści stają się konserwatystami republikańskimi i pod tęż samą chorągiew zaczynają się garnąć republikanie, obstający przy istniejącym stanie rzeczy i niegodzący się z radykalizmem jakiegokolwiekbądź odcienia. Pod tenże sztandar zapisuje się liberalizm, sromający się radykalnego autokratyzmu. Wszystkie te odcienia, mniej lub więcej zgodnie, wystąpić już mają do walki przy następnych wyborach do Izby i Rady paryskiej. Obecnie odbywają się roboty przygotowawcze. Nie sądzę atoli, ażeby te przygotowania były bardzo groźne. Niezależnie bowiem od stronnictwa katolicko-monarchicznego, które okazuje wiele energii, na arenie jednak parlamentarnej żadnej roli nie odgrywa (hrabiemu de Mun nie pozwolono, przed rokiem, zawiązać w Izbie stronnictwa katolickiego, dla niezrywania wielorakich sojuszów), republikańsko - monarchiczny konserwatyzm mieszczański zdradza wielki brak gorliwości w służbie publicznej i nie mniejszy brak ludzi zdolnych i sprawie oddanych. Kupić lub wynająć ludzi takich niepodobna, mieszczaństwo zaś zajęte interesami prywatnymi lub obdłużona arystokracya nie mają ani głów, ani serc, ani czasu po temu. Publiczna niemoc tego obozu równa się tylko jego dostatkom. Powszechny to zresztą podobno los sytych i uwikłanych w sprawy codzienne. Wyprzedzają ich głodni — głodni dostatku, sławy lub sprawiedliwości.

Pozostawiając więc ucztujących dziś własnemu ich losowi przejdźmy z kolei do ra-

---

nad brzegi Worskli, wpatrywał się w jej nurty, biegał po nadbrzeżnym piasku, zrywał kwiaty, gonił motyle, pochłaniał całą piersią złociste promyki słońca... Nagle zbudził się z marzeń, wzdychał, maczał ręcznik chłodną wodą, okładał głowę pijanego... i znowu wpadał w zadumę, znowu błądził po nad Worsklą.

—o—

Świtało, gdy stróżowstwo wrócili do domu i zlekka zapukali do okna swego mieszkania, lecz córka rozespana niełatwo się budziła, więc zastukali głośniej, aż Rydel sam otworzył drzwi.

— Daruj pan — bełkotał podpiły stróż — człowiek na urzędzie nie łatwo może opuścić towarzystwo, bo go nazwą dumnym. Ileż to starszyna przysporzył sobie wrogów za to, że stroni od sąsiadów. Jeśliś naczelnik — bądź sobie naczelnikiem, a nosa nie zadzieraj!

— Idź, wyśpij się—rzekł łagodnie Rydel.

— Dziękuję panu — ciągnął stróż— człowiek na urzędzie nie łatwo może zasnąć, czasami rzucasz się na posłaniu całą noc: i to i owo przychodzi do głowy— nie przymierzając jak i pan — bo we włości chłopów wiele, a stróż włościański jeden, nie przymierzając jak i pan pisarz...

— Więc idź i uśnij.

Stróż chwilę postał, pomruczał i poszedł do swej izby. Żona jego już kładła się do łóżka; rozmarzona od trunku i przyjemnie spędzonej nocy, uśmiechając się czule do męża, namawiała, by także spoczął a nie wdawał się w rozmowę z pisarzem, który jak potępieniec całe noce łazi po pokoju.

— At, gadasz — rzekł stróż, chodząc po izbie i od czasu do czasu przykładając rękę do czoła.

— A widzisz — odezwała się żona — mówiłam, że za wiele pijesz, teraz cię głowa boli; najlepsze lekarstwo wyspać się.

— Pleciesz — burknął stróż i znowu chodził.

Nareszcie zatrzymał się przed łóżkiem i chwiejąc się, mówił:

— Czy ty myślisz, że mamy z panem pisarzem mało kłopotu? O całą włość trzeba się troszczyć. Starszynie — co? Starszyna przyjdzie raz na dzień, a czasami i zupełnie nie przyjdzie do zarządu; któż tedy musi rządzić — jeśli nie my? Myślisz, myślisz, aż głowa pęka... Wy, baby, ani pojęcia nie macie, co znaczy być na urzędzie... To naczelnik przyjeżdża, to przyjdą jakieś ważne papiery — o wszystkiem trzeba pomyśleć. Ot choćby wczoraj, otrzymujemy papiery: „kto nie złowi Wasila, temu katorga.“

— Porzuć ty swego Wasila — szepnęła, trwożliwie oglądając się kobieta — cały wieczór już nagadaliście się o nim. Jakbyś go złowił, nie długobyś pożył... Pamiętasz, co on zrobił w Krzywej wsi?

— Pamiętam!.. Ot i myślę, jakby urządzić, żebym ja Wasila nie widział, ani on mnie... I pisarz nad tem myśli — ho! mnie nie oszukasz! Spojrzałem i odrazu zgadłem; człowiek na urzędzie staje się przezornym...

Długo jeszcze rozprawiał; nareszcie padł wpół rozebrany na posłanie i zasnął twardo.

Tylko Rydel czuwał. Wreszcie i on z bolącą głową legł na łóżko i patrząc przy odblysku światła z przyległej izdebki na dziką twarz złoczyńcy, starał się coś z niej wyczytać.

— Kto wie—myślał—może ta posągowa postać była stworzona do walk z tytanami zła; może powinna była dotrzeć do tronu Jowisza i porwać stamtąd ogień święty— któż odgadnie? Mówią, że gdzieś na Podolu zabił swego pana — zabił dla pieniędzy!.. Zbrodniarz— mizerny zbrodniarz; lecz któż zbada, jakie pokusy, jakie przyczyny zawiodły go na tę drogę? Czy widział w swem życiu serdeczny uśmiech? czy czuł uścisk przyjaznej ręki? Czy dano mu pojąć, czem jest człowiek? A może wobec zgłodniałego zajadano przysmaki, może wobec uciśnionego okazywano komuś przesadny szacunek, wobec wzgardzonego kochano kogoś bez zasługi i wartości?... Może... któż zgadnie, jak się tworzy myśl zbrodniarza?..

(D. c. n.).

Brolis.

dykalnych. Walczą oni w Radzie miejskiej pod znakiem autonomii. Wiedzieć należy, iż Paryż, w porównaniu z innemi gminami miejskiemi i wiejskiemi we Francyi, wielce jest w tym kierunku upośledzony. Inne rady miejskie same wybierają sobie naczelników i korzystają z dość rozległego samorządu — Paryż zaś pod względem miejskiego zarządu podzielony jest na 20 okręgów, na czele których stoją przez rząd mianowani merowie; na czele zaś stolicy, jako właściwy mer Paryża, stoi prefekt Sekwany, paryzki starosta, jakby się można po galicyjsku wyrazić. Na taką ujmę obruszyłby się Lwów i Kraków (gdzie obieralni prezydenci pełnią „w zakresie poruczonym" obowiązki starościńskie) — a cóż dopiero Paryż! Autonomiści tedy domagają się utworzenia merowstwa centralnego, któreby zależało bezpośrednio od Rady i jej prezydenta nie zaś od p. prefekta i władz naczelnych. Za tem poszłoby rozszerzenie samorządu, ścieśnianego dziś ustawicznie. I tak Rada Paryża dopiero w roku ubiegłym zyskała pozwolenie odbywania swych posiedzeń publicznie (co przysługuje oddawna innym radom gminnym), lubo w nowoodbudowanym, po wojnie domowej, Ratuszu, dawno już przygotowano wygodne galerye dla publiczności! A przecież ta Rada paryzka jest wstępną szkołą francuskich parlamentarnych wielkości. Wszyscy prawie wybitni dziś członkowie Izby, jak: Floquet, Brisson, Clemenceau i tylu innych, którzy bywali już ministrami lub są już senatorami, zasiadali pierwotnie na jej ławach i przemawiali wobec galeryj, ogołoconych z publiczności! Ciągle zresztą wybitniejsi rajcowie przechodzą z Ratusza do Pałacu Burbonów. W chwili właśnie gdy to piszę, prezydent Rady Paryża p. Mesureur stawia swą kandydaturę do Izby z Paryża, na jedno miejsce opróżnione i występuje przytem bez żadnego współzawodnika, będąc zupełnie pewnym wygranej, mimo że tytułuje się na afiszach wyborczych jako „radical socialiste." Ta ustawiczna emigracya z Rady do Izby jest dla rządu centralnego klapą bezpieczeństwa od palnych materyałów i ambicyj zamkniętych w ograniczonej co do swego działania radzie miejskiej. Że Rada jednak na tej emigracyi nie wygrywa — to pewna.

(D. n.)

BADANIA NAUKOWE.

RENAN W COLLÈGE DE FRANCE.

II.

Umysł Renana jest zawsze żywy, świeży, często nawet cechuje go młodzieńcza prawie naiwność. Cała postać robi wrażenie człowieka dobrodusznego. Dobroduszności tej towarzyszy jednak niewyczerpany zapas delikatnej, subtelnej ironii. Żartobliwy gal nie ustępuje przed poetycznym bretończykiem, anglik — przed marzycielem. Lekka ironia stanowi zwykle niepochwytne tło jego dzieł, czytać ją można niedopowiedzianą między liniami. Zdaje się ona mówić: jakież to wszystko niedorzeczne, a przytem zabawne! Czyż warto świat ten tak mocno brać do serca, tembardziej, że go zmienić w niczem nie potrafimy — uśmiech lepszy jest od łzy. Uśmiechajmy się więc— lecz filozoficznie.

Ironia przenika i rozumowanie Renana. Czy jest prawda? Jest i niema — odpowiada Renan. Gdzież? Wszędzie i nigdzie. Prawda nie jest ani twierdzeniem, ani przeczeniem, znajduje się ona pośród skrajności: jest odcieniem tylko. Każda prawda mieści w sobie pewną dozę kłamstwa, każdy błąd— cząstkę prawdy. Trudno rzec, gdzie się zaczyna jedno, a kończy drugie.

U Renana prawda tak ściśle spleciona z paradoksem, że często niepodobna ich oddzielić. Zagadką pozostaje, co autor twierdzi, a czemu przeczy; nie wiadomo nawet, czy wierzy on rzeczywiście w swoją prawdę, a wątpi o paradoksie.

A jednak ten dyletant wyrafinowany, ten nienasycony epikurejczyk nie zaznał nigdy rozkoszy przyjemności życia (czego może czasami obecnie żałuje). Trzy kobiety, jak twierdzi, kochał tylko: swoją siostrę, żonę i córkę. Prowadził skromny i pracowity żywot uczonego, studyom wyłącznie poświęcony. Ten sceptyk ironiczny oddawał się nauce gorliwie, jakby wierzył, że za jej pomocą wynajdzie Archimedesowski punkt oparcia dla wyważenia z posad ziemi.

Z gabinetu swojego w Collège de France przypatruje się tak ciekawemu dla niego widowisku świata. Niezwykły obraz rozwija się przed nim; przed oczami jego roztacza się wspaniały pochód, w którym przyjmują udział najrozmaitsze narody, epoki i cywilizacye. W defiladzie tej przesuwa się to natchniony prorok hebrajski, głosiciel słowa bożego, to piękny efeb grecki, jakby z Platońskiego wyjęty dyalogu, to możny i wymowny rzymianin, dyktator świata całego, to artysta średniowieczny w mistycznej zatopiony ekstazie. Przypatruje się Renan i temu, co się dzieje naokoło niego. Tysiączne myśli, jedna od drugiej piękniejsza i oryginalniejsza, przebiegają przez głowę jego. Widzi np., jak przed oknami jego mieszkania murarze rozbijają szczątki Collège du Plessis, więzienia rewolucyjnego, gdzie tylu cierpiało, a może i kochało — i wyobraźni jego nasuwa się wątek do *L'abbesse de Jouarre.*

Śmiało więc powiedzieć można o Renanie: jest to dusza tak bogata, tak wielostronna, tak subtelna, że przekracza ramy wszelkiego określenia. Talent jego giętki i różnobarwny, jaśnieje wszystkiemi zaletami inteligencyi i dowcipu, rozpryskuje się tysiącem świateł i iskier, których nikt ująć i zebrać nie potrafi.

Gdybyście jednak koniecznie chcieli definicyi, powiedziałbym, nie popadłszy może w wielki błąd: jest to retor grecki, niby Lucyan starożytny w szacie księdza bretońskiego.

Nie będę się dłużej rozwodził nad kontrastami, w które Renan tak obfituje. Nie zliczyłbym, gdybym prowadził ich wykaz nawet tak skrupulatnie, jak Leporello listę kochanek swego pana. Mam przed sobą zadanie o wiele skromniejsze: skreślić sylwetkę Renana, jako profesora, opisać dwie godziny, które spędza tygodniowo w Collège de France.

Przedewszystkiem winienem uspokoić pewną obawę, która się wyrodzić mogła w niejednym z czytelników i bardzo wielu czytelniczkach: nie jest bynajmniej moim zamiarem przytaczać treść wykładów Renana. Wiem aż nadto dobrze, jakim przestrachem literatura i krytyka biblijna napawają powszechnie serca wiernych i niewiernych: napomknąwszy tylko o przedmiocie wykładów Renana, mówić będę o nim samym, o sposobie, w jaki naucza.

Każdy z profesorów Collège de France obowiązany jest czytać dwie godziny na tydzień. Jedna konferencya przeznaczona jest dla specyalistów, druga — szerszą zgromadza publiczność i ma popularniejszy charakter. Pierwszą Renan już od trzech lat poświęca psalmom, program drugiej wypełniają poszukiwania szczątków starożytnego eposu hebrajskiego w historycznych księgach Starego Testamentu.

Zanim przejdę do bliższego opisu tych wykładów, wspomnę dla dokładności obrazu o publiczności, która ich słucha. Audytoryum Renana zawsze jest pełne. Osobistość jego ściąga liczny zastęp ciekawych, nawet takich, którym semickie języki i starożytności są zupełnie obojętne. Ci ostatni stanowią olbrzymią większość: hebraizujących i wogóle oryentalistów, jak wszędzie, tak w Paryżu znajduje się bardzo niewielu. Publiczność przychodzi popatrzeć na znakomitego człowieka, posłuchać jego zajmujących opowiadań, nabawić się jego dowcipnemi uwagami. Zauważyć wśród niej można sporą ilość cudzoziemców, a zbytecznem byłoby dodawać, że w liczbie ciekawych nie brak nigdy kobiet. Zawsze prawie można być pewnym, że na lekcyach tych zobaczysz kilka angielek.

Renan wchodzi, słuchacze witają go oklaskami, za które dziękuje lekkiem skinieniem głowy i dobrotliwym uśmiechem. Przyjrzyjmy mu się zblizka. Jest on cały okrągły (co za rozczarowanie dla sentymentalnych czytelniczek *Życia Jezusa*). Na krótką, otyłą szyję wtłoczona olbrzymia głowa, okrągłego kształtu, jakby kopuła — pokryta długim, srebrnym, męzkim włosem. Rysy twarzy grube, znacznych rozmiarów; gęste, siwe brwi schodzą się prawie nad dużym, w kształcie klina spuszczającym się nosem, okalając oczy o wyrazie inteligentnym i dowcipnym. Usta cienkie, delikatne, stworzone są jakby do ironicznego uśmiechu. Postać cała pełna jest dobroduszności. Chód powolny, ciężki, utrudniony tuszą, starością i reumatyzmem.

Pochylony nad olbrzymim „poliglottem," głosem ochrypłym, surowym, lecz wyrazistym rozpoczyna wykład. Mówi żywo, z naciskiem podkreślając pojedyncze słowa, ilustrując myśli ruchami, niekiedy energicznymi. Sposób wykładu jest niesłychanie prosty: niema w nim nic sztucznego, nic akademickiego, żadnej pozy, żadnej efektacyi; chodzi mu przedewszystkiem o jasność i dostępność. Mowa jego nie przypomina tego stylu rytmicznego, harmonijnego, niemal klasycznego, w którym pisane są jego dzieła, chociaż styl ten odznacza się również prostotą i przezroczystością. Prelekcya Renana nie robi wrażenia, jakby wypowiedzianą była „ex cathedra," nie widać w niej maniery profesorskiej, jest to raczej poufna, przyjacielska pogawędka. Cecha tak rzadko napotykana, że podwoić może tylko urok tego tak pociągającego i pouczającego wykładu.

Na lekcyi analitycznej Renan w sposób niesłychanie gruntowny i wyczerpujący objaśnia psalmy. Tłomaczy wyraz za wyrazem, zastanawia się zarówno nad pojedynczemi zdaniami, jak i nad przewodnią myślą całego ustępu. Zatrzymuje się z wielką drobiazgowością nad miejscami wątpliwemi, wykazuje, w jak opłakanym stanie doszedł nas tekst psalmów, jak wiele w nim jest błędów i niedokładności; objaśnia, w jaki sposób błędy te powstać mogły; narzeka na wadliwość alfabetu aramejskiego, którego niewyraźny charakter, przy braku znaków dla samogłosek, był najczęstszą i główną przyczyną popełnianych przez kopistów pomyłek; stara się odgadnąć pierwotne brzmienie skażonych ustępów, proponuje poprawki, opierające się na semickiej paleografii, porównywa starożytne tłomaczenia: greckie, łacińskie i syryjskie, wgląda do św. Hieronima, przytacza poglądy krytyków nowoczesnych, jedne chwali i przyjmuje, drugie zbliża i odrzuca — a nieraz wyznaje zupełną bezsilność wszelkich poszukiwań i radzi wątpliwe miejsce zostawić „in blanco."

Żeby dać przykład skrupulatności, do jakiej dochodzi, przytoczę drobny, lecz wymowny przykład. Na jednej z ostatnich lekcyj objaśnił dwa wiersze (wprawdzie najeżone pytaniami, mianowicie 15 i 16 psalmu 139) przez pół godziny. Dalej chyba sumienności wykładu posunąć niepodobna.

Przeprosiwszy publiczność za te nużące szczegóły, uniewinniając się, że obowiązek jego, jako profesora w Collège de France, wymaga ich przytoczenia i roztrząsania, Renan rozwodzi się nad ogólnym charakterem każdego psalmu, stara się pochwycić zasadniczy motyw, który go wywołał, ozna-

czyć w przybliżeniu prawdopodobną datę jego powstania; maluje epokę historyczną, której psalm ten był religijnym wyrazem — mniej lub więcej blizką odbudowania drugiej świątyni; charakteryzuje partyę gorliwców, którzy wśród nieustannej walki, pomimo zewsząd stawianych przeszkód, wznoszą z gruzów nową Jerozolimę, pokładając gorącą, niezachwianą wiarę we wszechmoc Jehowy i ostateczne zwycięztwo sprawiedliwości i wylewając w natchnionych hymnach uczucia i nadzieje, któremi przepełnione były namiętne ich dusze. Hymnom tym przeznaczonem było stać się liturgią ludzkości.

Renan unosi się nad pięknościami psalmów i pomimo olbrzymiej różnicy w treści, porównywa je często i chętnie pod względem artystycznego wykończenia do arcydzieł liryki greckiej.

Druga lekcya Renana ogólniejszego charakteru inne ma zadanie. Różni się ona od poprzedniej zarówno przedmiotem, jak metodą. Historyczne księgi Starego Testamentu zachowały nam wspomnienie o dwóch niezmiernie starożytnych utworach poezyi ludowej, które poprzedzały ich ułożenie: „Księdze wojen Jahwy“ (tj. Jehowy) i księdze zwanej „Hajaszar.“ Utwory te zaginęły i nie posiadamy o nich żadnych bliższych wiadomości. Można atoli przypuszczać, iż zawierały one zbiór epicznych poematów ludowych, opiewających stopniowy podbój Palestyny i częste wojny hebrajczyków z tuziemcami. Używając metody krytycznej, można z pewnem prawdopodobieństwem odnaleźć w tekstach, które nas doszły, ustępy zapożyczone lub żywcem wzięte ze starszych źródeł. Redaktorzy tych tekstów mieli przed sobą dwie odmiany jednych i tych samych wypadków, północną i południową, jehowistyczną i elohistyczną, czerpali zarówno z jednej, jak i z drugiej, lecz nie umieli ich pogodzić, zagładzić różnic, stworzyć jednej harmonijnej całości, jaką widzimy w doskonałych kompilacyach greków — *Iliadzie* i *Odyssei*. Lecz ta nieudolność kompozycyi i częste powtarzania, godne pożałowania pod względem artystycznym, są dla krytyki nieocenionem źródłem domysłów i pozwalają w mozajce tej odosobnić i wyróżnić ustępy obcego pochodzenia.

Oto jest w najogólniejszych rysach sposób postępowania, którym się posiłkuje Renan w swoich poszukiwaniach. Lekcya ta daje mu możność mówienia o kwestyach w pewnym związku z danym tematem będących. Wykazuje np., że pierwotnie Jahwe nie był niczem innem, tylko miejscowem bóstwem plemiennem hebrajczyków, że nie różnił się on bynajmniej od Khemosza moabitów i innych bogów sąsiednich. Profetyzm dopiero, którego zaczątków szukać należy w odległych czasach tajemniczych proroków Eliasza i Elizego, rozbudził w narodzie hebrajskim ducha religijnego i nadał kultowi Jahwe wysoce moralne i podniosłe znaczenie. Jako bóg sprawiedliwości przekroczył on granice Palestyny i ogarnął świat cały, strącając dawne bóstwa w nicość i zapomnienie.

Wspominałem wyżej o zamiłowaniu Renana do uwag ironicznych. Niech się tylko ku temu nastręczy sposobność, a bądźcie pewni, że z niej skorzysta. Dziwi się np. Jahwie, że zjawiwszy się w nocy do Balaama, u którego gościli posłowie moabiccy, żąda objaśnień i zapytuje naiwnie: „co to za ludzie są u ciebie?“ Lub też opowiada, jak Jahwe, spotkawszy Mojżesza w drodze (w owych czasach, twierdzi Renan, można jeszcze spotkać Jahwę w drodze), powziął ni stąd ni zowąd szczególną myśl zabicia swego wiernego sługi. Dlaczego — niewiadomo. (Il ne faut pas lui demander des raisons, c'était son idée ce jour-là).

Wykład Renana posiada między innemi jeszcze jedną wielką zaletę: odznaczając się bogactwem myśli, nasuwa je i słuchaczowi. Trudno sobie wyobrazić, ile on w przeciągu jednej godziny podniesie kwestyj, ile pomysłów przesunie się przez jego głowę; umysł jego niezwykle wrażliwy i żywy oświeca dany przedmiot z najrozmaitszych stron i odkrywa to, czegobyśmy się nigdy znaleźć nie spodziewali; jedna myśl wyradza i goni drugą; malownicze opisy, zabawne anegdotki, zręczne spostrzeżenia, dowcipne ilustracye, trafne porównania, aluzye następują po sobie bez końca. Renan pełnemi garściami czerpie w nieprzebranej skarbnicy swych wiadomości i wspomnień; widział wiele i odbywał dalekie podróże; zarówno starożytność jak i teraźniejszość, wschód i zachód, dostarczają bogatego materyału jego wyobraźni.

Tydzień temu np. opisywał różnicę, jaka zachodzi między Olimpem a Synajem i odmienne wrażenia, których przy widoku tych dwóch gór doznawał. Olimp tonie w błękicie, śnieżnobiały szczyt jego wydaje się jakby naturalnem siedliskiem pięknych, ludzkich, nektarem i ambrozyą żyjących bogów Grecyi. Całość układa się do harmonijnego, wdzięcznego obrazu. Niema nic groźniejszego nad Synaj. Jest to olbrzymia nieorganiczna masa, wyciosana jakby z kamienia i metalu. Wieniec czarnych chmur pokrywa jej wierzchołek. Niepodobna sobie wyobrazić nic straszniejszego, jak burzę na Synaju: huk dział, dźwięk dzwonów, trąby i bębny zmieszane razem, dają przybliżone pojęcie o jej odgłosie. Ze szmeru wichrów, wśród grzmotów i błyskawic zwykł był objawiać się Jahwe na Synaju, pełen nadludzkiej wielkości, potęgi i grozy.

Renan służy zarówno bogom na Olimpie, jak bogu na Synaju; miłuje jednocześnie odmienne geniusze greków i hebrajczyków. Antyteza, która strawiła Heinego: walka między pogańskim „Panem,“ a klątwy rzucającym Mojżeszem — nie pozbawiła Renana równowagi wewnętrznej. Zarówno Synaj i Golgota z jednej strony, jak Akropol z drugiej wzbudzają w nim bezgraniczny zachwyt. Jest to jednym dowodem więcej, że w Renanie kilka dusz się mieści.

Intuicya jego, zmysł artystyczny, który w tak wysokim stopniu posiada, pozwalają mu wniknąć w ducha epoki, której dzieła objaśnia, czuć i myśleć, jak ci, którzy w niej żyli i działali; przejąć się zapałem, który miotał ognistą duszą psalmisty, uzmysłowić sobie prostotę i naiwność czasów patryarchalnych. Zamierzchła przeszłość, obrazy na wieki pogrzebane pod gorącymi piaskami Syryi dzięki jego słowu zmartwychwstają z po za liter starożytnego tekstu.

Renan powiada, że gdyby się po raz drugi urodził, poświęciłby swe życie Grecyi starożytnej. Co za niepowetowana szkoda, że nie może on spełnić tego życzenia! W jak oryginalnem, cudownem oświetleniu widzielibyśmy wówczas arcydzieła najpiękniejszej literatury w świecie. Aczkolwiek nie bez pewnej przesady, możnaby tu zastosować słowa Cycerona, zwrócone do Achillesa: „O fortunate adolescens, qui virtutis tuae Homerum praeconem invenisses!“ — szczęśliwa literatura, która w Renanie tłomacza swego znalazła.

Zanim skończę ten szkic, wspomnę jeszcze o jednym rysie. Niema człowieka, któryby grzeczność do wyższego posunął stopnia, jak Renan. Uprzejmość jego, powiedziałbym nawet słodycz charakteru, jest tak wielką, że nieraz wprawia w wielkie zakłopotanie. Żeby mieć o niej wyobrażenie, trzeba się do niego zbliżyć. Nie hołduje on widocznie zasadzie, znanej mi z tradycyi, że „przepaść oddziela ławkę od katedry.“

Wrażenie, które wyniosłem z lekcyi Renana, mógłbym zawrzeć w słowach następujących: Renan jest nietylko wielkim dyletantem, poetą i uczonym, lecz też i idealnym profesorem.

J. Bekerman.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

IX.

Fonsegrive: *Konsekwencye społeczne wolnej woli.*

Czy, rozważając wielką zmianę w pojmowaniu praw człowieka, pomyślałeś kiedykolwiek, że ma ona i swoje metafizyczne podstawy? Wiesz o tem, iż świat uznał godność ludzką za nietykalną, za prawdę najwyższą, od której zawisłym uczynił od czasów przewrotu we Francyi cały ustrój bytu społecznego. Spostrzegasz brak wielu karbów, którymi przedtem krępowano swobodę sumienia i czynu, ale zapewne nie zdajesz sobie sprawy z poglądów filozoficznych, którym tę błogą zapowiedź lepszego jutra zawdzięczasz. Owóż jest ona dziełem, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie wiary w wolność woli człowieczej, na czoło pojęć ośmnastego wieku wysuniętej przez autora *Umowy społecznej*.

Stała się jednak rzecz dziwna: ci sami, co niegdyś walczyli pod sztandarem rewolucyi i tryumfowali z podźwignięcia wartości osobistej „króla stworzenia“ — teraz gotowi są własnych swych godeł zaprzeć się i ową wolność wewnętrzną uznać za urojenie, a za jedyny pewnik — bierne posłuszeństwo woli warunkom i wpływom otaczającego świata. Zowią się oni deterministami. Twierdzą, iż praca dla idei nie istnieje, a wszelka działalność jednostki, czy gromady, natchniona jest żądzą szczęścia lub dobrobytu, słowem, jakimkolwiek bliżej określonym celem. Tym sposobem stają obok siebie dwa szkice gmachu społecznego, każdy na innych oparty zasadach: jeden na czci bezwzględnej samowiedzy, wyższej nad wszelkie bodźce zewnętrzne i siebie samą podającej za ideał — drugi na pojęciu względności i zawisłości wszystkiego, co jest ziemskiem. Zrozumiesz łatwo, iż zwolennicy dwu tak odmiennych myśli przewodnich, różnić się muszą w zapatrywaniach na zadanie władzy państwowej i prawa. Za Fonsegrive'em, cenionym pisarzem francuskim, przyjrzyjmy się owym konsekwencyom bliżej *).

Czem będzie społeczeństwo dla deterministów? Formą pożycia zbiorowego, najbardziej sprzyjającą dobru jednostkowemu, narzędziem, które samo z czasem wzniosło się na szczebel samoistnego celu, ale nie przestaje czerpać racyi swego bytu z dążeń bliższych naszemu sercu i umysłowi. Ze stanowiska wolnej woli dzieje się inaczej: społeczeństwo również wysługuje się innym ideom, ale jako pewnego rodzaju zło konieczne. Jest ono jedyną postacią stosunków, pozwalającą rozwijać się woli ludzkiej; samo przez się znaczenia nie ma; żyje życiem, zapożyczonem od wymagań wewnętrznej potęgi jednostkowej.

Pojęcie godności osobistej, widziane w świetle obu teoryj, uwydatni lepiej ów przedział. Bo chociaż jednako korzą się przed majestatem człowieka — każda przecież z innego tytułu. Dla uznających żelazną moc praw natury najwyższą cenę ma w człowieku to, do czego on sam lub bliźni jego największą przywiązują wagę, a zatem szczęśliwość, inteligencya i cnota. Ale ponieważ ta ostatnia tworem samodzielnym nie jest, pozostają dwie pierwsze. Na nich to wspiera się poczucie dumy własnej.

A jakże określają ją wyznawcy wolnej woli? Bardzićj oderwanie. Istota ludzka wyższą jest nad wszystkie inne, nie wyłączając sił przyrody. Dusza panuje nad wszechświatem; sama nad sobą czuwa, sama się potęguje, kształci i poprawia. Nie ona stanowi wytwór czynników zewnętrznych, ale przeciwnie, jej służalcami są warunki życia. Rozkaz, z jej głębi płynący,

*) *Les conséquences sociales du libre arbitre. Révue philosophique*, za kwiecień.

łamie przeszkody, a więc słuszna, żeby był otaczany niezrównanym szacunkiem; wola tak przemożna domaga się hołdu powszechnego.

Zdawałoby się, iż urządzenia prawne, podyktowane takiem nieograniczonem schlebianiem osobistości, winny być biegunem drugim dla norm, doradzanych przez ideał możliwego zadowolenia ogółu. Najniespodziewaniej jednak z zestawień Fonsegrive'ea wypada, iż w głównych zarysach mogą być do siebie bardzo podobne.

Przedewszystkiem zapytać należy, czy wolna wola zawsze i wszędzie uważaną jest przez swych szermierzów za godną przywilejów, jakie jej w udziale przypadły? Otóż nie. Wypływa z własnych ich dogmatów, że zawdzięcza ona swoje zaszczyty dobrym zamiarom i rozumowi. Gdyby zniżała się do podłości lub głupoty — wnet odebranoby jej berło i z tronu zrzucono. Jest ubóstwiana dlatego tylko, że idzie ręka w rękę z obowiązkiem, spełniając go święcie. Bez ciągłego przymierza z nim nie byłaby tem, czem jest; posiada cechę etyczną i z całym swoim urokiem na jej łasce pozostaje. Kant przyznał autorstwo praw, rządzących zbiorowiskami ludzi, woli, ale nie byle jakiej: dobrej i rozumnej. Nie człowiek pierwszy lepszy był w jego oczach twórcą porządku moralnego, lecz ludzkość cała, a zatem mądrość jakaś transcendentalna, jasnowidząca mniej od Boga Leibnitza lub Tomasza z Akwinu. Zarówno wolność woli jak i połączona z nią nierozerwalnie cnota mogą się najszerzej urzeczywistnić w istnieniu zbiorowem. Stąd przeto pochodzi uświęcenie społeczeństwa.

Ostatecznie więc spór prastary między stronnikami dwóch wrogich sobie sposobów tłomaczenia woli traci wpływ na sprawę pojmowania społeczeństwa, staje się dla niej poniekąd obojętnym. Jedni i drudzy uznać muszą *potrzebę* instytucyj. Czy zgadzają się również, gdy chodzi o naturę, o bliższe określenie ich ducha — to się dopiero pokaże.

Dla deterministów ustrój gromadny ma jedno posłannictwo: doskonalić się, ażeby przysparzać swym członkom tego, co najwyżej szacują: szczęścia i oświaty.

Dla zwolenników zasady: „spiritus flat ubi vult“ — ma aż dwa zadania: rozwijać poczucie obowiązku, umacniać ład moralny a jednocześnie baczyć na to, by godność osobista, na nieprzymuszonej woli oparta, nie doznawała ścieśnień, żeby jej nie zadawano gwałtu prawnego.

Wytłomaczę się jaśniej, o ile naturalnie pozwala na to zagmatwany i ciężki wykład autora.

Skoro założenie bytu zorganizowanego ma według deterministów polegać na mnożeniu szczęśliwości lub inteligencyi, kto powinien wydawać prawa? Jeżeli postępowanie nasze ulega wpływom otoczenia, jakie mają być ustawy?

Nastręcza się odpowiedź nader pochlebna dla ekonomistów. Bogactwo jest niewątpliwie najważniejszą częścią dobrobytu; ci zatem, co przemyśliwają nad powiększeniem go i jaknajsprawiedliwszym podziałem, stanowią niejako o szczęściu ogólnem. Wówczas prawodawcom wolno byłoby godzić na wszystkie swobody, które wydawałyby się im szkodliwemi dla ogólnej pomyślności. Jak dziś napadają na wolny handel, a wczoraj na cła ochronne, tak jutro znowu mogą upatrywać niebezpieczeństwo w tolerancyi. Zdawszy się na ich kierownictwo, obywatele byliby co chwila narażeni na przemoc i ograniczenia w imię kultu żołądka pełnego.

Dajmy na to, że społeczeństwo żywi dążenia czysto intelektualne. Komuż w takim razie należałoby powierzyć ster nawy państwowej? Oczywiście filozofom i uczonym— jak w utopii Platona. Ale jakże gorzkie byłyby takiej władzy owoce dla prostaczków! Wiadomo, że umysł Newtona o tyle wyższym jest od zdolności papuasa, o ile rozum papuasa od instynktu małpy. A jeśli dziki malajczyk ma prawo zaprzęgać do swych potrzeb biednego protoplastę rodu ludzkiego, dla czegoż by nie miał go naśladować geniusz? I oto równość na samym wstępie znikłaby z powierzchni ziemi. Nadto podobne rządy musiałyby liczyć się ze zdobyczami wiedzy i troskliwie je do ciała społecznego stosować. Znając lepiej od innych przyrodę, mogliby sternicy poddawać ogół działaniu czynników, jakie tylko uznawaliby za zbawienne. Kto wie — może wprowadziliby przymusową dziedziczność zawodów, ograniczyli liczbę małżeństw. W miarę, jak nauki: o życiu, duchu i społeczeństwie gromadziłyby pewniki, zwężałby się zakres wolności obywatelskiej. Doszłoby może do tego, że ani strzecha domowa, ani sumienie, ani uczucia rodzinne, nie byłyby ogrodzone od eksperymentów prawodawczych.

Największą wzbudza ciekawość prawo karne deterministów. Wychodząc z zasady powszechnego pożytku, winni usuwać pierwiastki zaraźliwe i nienormalne, nie cofając się nawet przed zgładzeniem przestępcy. Wierni hasłu determinizmu muszą mieć na względzie nie zemstę, lecz poprawę za pomocą odpowiedniego wpływu na charakter spaczone; zapobiegać czynom zbrodniczym drogą kojarzenia w umyśle winowajcy wspomnienia spełnionego postępku z pojęciem kary. Dla obłąkanych więc i niepoczytalnych czyni się wyjątek. W istocie kraje ucywilizowane w znacznej części prawidła te u siebie zaszczepiły.

Społeczeństwo, ugruntowane na woli wolnej, pod wieloma względami przypominałoby typ powyższy. I w niem dłoń sprawiedliwości musiałaby ubezwładniać żywioły chorobliwe, groźne dla trwałości związku, który ma pomagać do urzeczywistnienia pragnień oderwanych. I tam pokuta byłaby ustosunkowaną do stopnia winy; ofiara obłędu byłaby z pod bicza wyjętą. Jeno sędzia nie działałby pobudkami i na pobudki, ale kształciłby po prostu wolną wolę, widocznie niekiedy za słabo rozwiniętą. Wierzyłby też zawsze w możność nagłej i samorzutnej poprawy i śmiercią nie karał. Tak tedy w obu wypadkach dozór obyczajowy byłby niemal jednakowo urządzony. Jeno nieprzyjaciele determinizmu sprowadziliby go do minimum, zamknęli w obrębie konieczności.

Im więcej wszakże odbiegamy od dziedziny kryminalnej ku regułom cywilnym i publicznym, pogłębia się przedział między dwoma rodzajami rządów. I wyznać trzeba, że z punktu widzenia godności ludzkiej wyższość przechodzi na stronę wolnej woli. Bylebyś nie czynił zamachu na całość społeczeństwa, możesz bronić swych przekonań politycznych, religii, sposobu myślenia i wszystkiego, co ci jest drogiem. Uwalnia cię ona od natłoku ustaw, bo uważa za poniżenie pętać ducha ludzkiego tysiącami więzów. Nawet dzieje na jej korzyść przemawiają: bo wykazują stopniowy zanik zakazów. Tu i owdzie przestępstwa religijne przestają być ściganemi. Zapewnia się pewną wolność słowu, wyznaniom, sektom, stronnictwom i zwyczajom, czego przed laty nie bywało. Chyba to prawdziwy postęp wyraża się w tej rosnącej dla popędów człowieka ufności.

Co do Fonsegrive'a, ten śmiało pochyla głowę przed liberalizmem; mniema, że idea zależności woli snadnie łączy się z widokami zupełnej niewoli. Żadnych innych napomknień o chwili obecnej w studyum jego nie znajduję. Jest to właściwie ułamek niewydanego jeszcze dzieła, oryginalny pomysłem, i, według autora, mający jedynie doniosłość logiczną. Jeśli zważyć, że nauce o wolnej woli grunt z pod nóg fatalnie się usuwa, samo porównanie dwóch systemów wyda się w rzeczy samej igraszką czystej teoryi. Cóż, że niezawisłość ducha tak piękne wróży nadzieje, skoro jej nawet idealistyczne mózgownice niemców odmawiają gościnności? (Wundt). Lecz w owej zabawce poruszono bolączkę dni dzisiejszych... Fakt, że wabne mrzonki na temat przyszłości społeczeństw dziwnie owe konsekwencye niewolnej, skłonnej do nadużyć woli przypominają.

Zresztą *sapienti sat*. Niechaj moja wzmianka nie sięga po za cel, podany przez samego myśliciela, którego jest echem — niechaj będzie tylko kombinacyą logiczną...

Robon Dion.

LITERATURA I SZTUKA.

RUSIŃSKA LITERATURA ALBUMOWA.

I.

Czytałem gdzieś zdanie, więcej może dowcipne niż gruntowne, lecz bądź co bądź, dość trafne, że każda nowopowstająca lub odradzająca się literatura rozpoczyna się okresem pism ulotnych i broszur okolicznościowych, przechodzi następnie epokę albumów i almanachów, dopóki wreszcie nie dojdzie do pism i wydawnictw peryodycznych. Sądząc wedle wszelkich oznak, literatura rusińska w Galicyi znajduje się dotychczas w fazie albumowej. Tylko polityka zdołała wytworzyć dla siebie czasopisma trwałe. Literackie do r. 1880 wszystkie chorowały na suchoty i podtrzymywane były sztucznie; założona w r. 1880 przez p. Partyckiego i wydawana obecnie przez towarzystwo imienia Szewczenki *Zorja*, jest poniekąd pierwszem czasopismem literackiem, które stoi na własnych nogach. Prawda, że rezultat finansowy jest tu poniekąd wynikiem zrzeczenia się wszystkiego, coby przypominało jakiś świadomy kierunek literacki, jest wynikiem eklektyzmu, który rzeczy błahe lub mierne, lecz niewychodzące z ram rutyny, stale przenosi nad prace bodaj trochę wybitniejsze, żywsze, niepodchodzące pod strychulec estetyki szkolnej. Nie dziw więc, że osobliwie młodsze siły, które chciałyby, niezależnie od owych estetycznych i moralnych formułek naszych gimnazyów, przemówić do publiczności, uciekają się do postaci pisma zbiorowego, wygodnej z rozmaitych względów. Przedewszystkiem idzie finansowy. Jedną książkę za składane pieniądze daleko łatwiej wypuścić w świat, niż cały szereg peryodycznych. Lecz kto wie, czy nie ważniejszym jeszcze jest wzgląd cenzuralny. Wedle austryackiego prawa prasowego, każde wydawnictwo peryodyczne po wyjściu z druku podlega podwójnej cenzurze: policyi i prokuratoryi; nieperyodyczna zaś książka, jeżeli ma objętości więcej niż 5 arkuszy, nie podlega jej. Przy nadmiernym więc rygoryzmie tych władz, idącym w parze z ciemnotą w sprawach literackich i naukowych, jedynie chyba książka może mieć nadzieję przeniesienia do publiczności nieco swobodniejszego słowa.

Zwłaszcza od połowy siódmego dziesiątka lat rozpoczęła się w literaturze rusińskiej Galicyi ta doba albumowa. Obok falangi starszych „narodowców,“ zgrupowanych około wydawnictwa *Prawda*, występuje na scenę zastęp młodzieży, hołdującej również ideałom narodowym, lecz niepodzielającej ani estetycznych, ani etycznych, ani społeczno-ekonomicznych poglądów starszego pokolenia, o ile ono je sformułowało (najczęściej tylko przecząco: tego nie chcemy, bo darwinizm! tego nie chcemy, bo realizm! tego nie chcemy, bo „nieestetyczne“ itp.). I oto w r. 1876, jak pierwsza jaskółka, zjawia się wydany przez tę młodzież album (wraz z kalendarzem) p. t. *Dnistrjanka*. Prawda, album ten jeszcze różnorodny; zgromadzeni w nim pod jednym dachem

ludzie, którzy w następnych latach dziesięciu rozeszli się w najróżniejsze strony: do obozu t. z. „starej“ partyi, do klerykalnego, do obecnych narodowców i do grupy „młodej“ lub „radykalnej.“ Lecz, bądź co bądź, ta grupa w nim przeważa, daje do niego parę utworów oryginalnych z życia ludu rusińskiego, pierwszy raz zaznajamia publiczność rusińską z nazwiskiem i sposobem pisania Emila Zoli, podając w przekładzie jego nowelę „Powódź.“

Prawie jednocześnie z *Dnistrjanką*, jakby dla ujawnienia swej odrębności, wydają też starsi narodowcy, osobliwie bracia Barwińscy, większy daleko album *Ruska chata.* Mniej tu eklektyzmu, ale daleko więcej szarej bezprogramowości. Najwięcej miejsca zajmują utwory dwóch bukowińskich poetów: dwa długie i wszelkiej wartości pozbawione poematy Daniła Młaki, z epoki wojen Chmielnickiego, ciekawy z wielu względów dramat Fed'kowicza „Dowbusz,“ parę prac p. Kulisza i Hanny Barwinok (pani Kuliszowej), wiersze Fed'kowicza, Młaki, Szrama, Ustjanowicza i kilka artykułów mniej wartych. Pomimo tak poważnych imion, jak Fed'kowicz, Kulisz i Barwinok, publiczność przyjęła ten album nadzwyczaj chłodno i podczas gdy *Dnistrjanka*, ułożona przez ludzi dotychczas prawie nieznanych, w tymże samym roku rozeszła się w przeszło 1000 egzemplarzach, *Ruska chata* i po dziś nie została zupełnie rozsprzedaną.

Tak zwane procesy socyalistyczne, które w r. 1877 i 1878 całkiem niespodzianie i z przyczyn czysto przypadkowych spadły na młodzież rusińską i w których pod pozorem socyalizmu rząd i społeczeństwo starały się stłumić wszelkie, choćby i najskromniejsze objawy krytyki i wolniejszej myśli, wywarły skutek wręcz przeciwny zamierzonemu, gdyż powołały do życia wydawnictwo nierównie ostrzejsze pod względem tonu i radykalniejsze pod względem krytyki stosunków społecznych, niż wszystkie poprzednie i późniejsze rusińskie. Był to wydawany przez M. Pawlika i Iw. Franko *Hromadskij druh*, który po dwóch numerach miesięcznych z powodów cenzuralnych przeszedł w formę albumu, czyli pisma zbiorowego p. t. *Dziarin*, a następnie *Mołot.* Te dwa albumy, które wraz z dwoma zeszytami *Hromadskiego druha* stanowią całość, pomimo konfiskat policyjnych wywarły wielkie wrażenie na całą publiczność rusińską wszystkich obozów. Czytano je z oburzeniem, ale czytano i podawano z rąk do rąk. Wyraziwszy głośno swe oburzenie i ubolewanie na to, że „takie rzeczy już i u nas“ się drukują, każdy mimo to w duchu przyznawał im wiele słuszności, a dziennikarze rusińscy, którzy nie znajdowali dość słów oburzenia i potępienia na wydawców i wysilali swe mózgi na wynajdywanie coraz potworniejszych bajek o nich, później mimo to przedrukowywali artykuły z zaklętego źródła. Pomimo całej niedojrzałości idej i metody tego wydawnictwa, trzeba jednak przyznać, że zasiało ono więcej zdrowych ziarn, więcej pobudek do pracy pożytecznej nad ludem, niż jakiekolwiek inne rusińskie w Galicyi. Ci, którzy najwięcej z niem polemizowali, jak np. zmarły Włodzimierz Barwiński, najwięcej też z niego korzystali; ci, którzy z początku oburzeniem lub kpinami obrzucali twierdzenia „zapaleńców“ — po kilku latach sami dumnie wygłaszali je jako swoje własne, jako pewniki.

Od tego czasu szła dalej walka między starszem i młodszem pokoleniem narodowców, walka nierówna i nierównomiernie prowadzona, już dlatego, że starsi, ludzie dojrzali, przeważnie zostający na posadach, zorganizowani i chociaż niebogaci, lecz też niepozbawieni środków, młodzi zaś wskutek procesów wytrąceni z naturalnej kolei, źle widziani przez rząd i społeczeństwo, rzadko tylko mogli podnieść niezawisły głos w obronie swych zasad. W r. 1879 i 1880 wydają oni *Drobną bibliotekę*, tłomaczenia popularnych prac autorów zagranicznych, jako też niektórych utworów beletrystycznych (wszystkiego wyszło 14 zeszytów, w których pierwszy raz w języku rusińskim ukazały się przekłady z Haeckla, Huxleya, Laveleya, Dobrolubowa, Pisarewa, dalej *Kain* Byrona i parę rozdziałów z *L'Assommoir* Zoli). W tymże roku 1880—1881 wydają Iwan Bełej i Iwan Franko czasopismo *Swit*, w tonie znacznie już umiarkowanym i próbują w niem ze swego stanowiska odzywać się o sprawach ogółu dotyczących. Wydawnictwa te, przedsiębrane przez grupkę „młodych,“ zmusiły starszych narodowców do reorganizacyi własnej roboty. Około tego więc czasu zaczyna się, przy częściowem przejmowaniu idej „młodych“ żywszy ruch między starszymi. P. Romanczuk w r. 1879 zakłada pismo ludowe *Bat'kiwszczyzna*, w którem, osobliwie w pierwszych latach, aż nadto wyraźnie widać pożyczki z *Hromadskiego druha*; p. Partycki zakłada literacką *Zorję*, a p. Barwiński polityczne *Diło*, które miało być organem całej partyi narodowców. Barwiński za pierwszy punkt swego programu postawił — *pojednanie* i to nietylko pojednanie ze „starą“ partyą *Słowa*, ale także z młodzieżą. Tylko, że taktyka jego na dwie strony była wcale niejednakowa. Gdy bowiem ze „starymi“ starał się dojść do celu zapomocą umizgów, przemilczenia ich błędów i daleko idących ustępstw, nawet programowej natury, natomiast dla wszystkich „nowych“ poglądów śród młodzieży (prócz tych, które sam sobie od niej przyswoił), okazywał wielką nietolerancyę i nie uważał sobie za ujmę agitować skrycie przeciw jednostkom tej „grupy,“ byleby tylko jakąś część pozyskał dla siebie. Rozumie się, że jego próby — utorowania śród młodzieży „staronarodowego“ kierunku nie odniosły pożądanego skutku, już chociażby z tego powodu, że na pytania, na które młodzież główną kładła wagę, na społeczne i ekonomiczne, Barwiński nie miał żadnej odpowiedzi, prócz chyba stereotypowej: „to u nas jeszcze nie na czasie.“ A gdy wreszcie w r. 1881 na pierwszym wiecu ludowym we Lwowie zamierzył sam nieco gruntowniej rozstrzygnąć te kwestye i dać odpowiedź, to najlepiej dowiódł, że na tem polu był zupełnym profanem; wszelki zawiązek programowej myśli społeczno-ekonomicznej utopił w powodzi frazesów.

Ale jeszcze za życia Barwińskiego mieli narodowcy sposobność przekonać się, że poczęta przez niego polityka pojednania nie z tej strony była prowadzoną, z której ją prowadzić należało. Młodzież do polityki *Diła* nie przystała, natomiast zaś partya *Słowa* pomimo anielskiej dla niej cierpliwości, wyrozumiałości i pobłażliwości Barwińskiego, obdarzyła nasz kraj takiemi kukułczemi jajami, jak „haniebny pod każdym względem“ proces Olgi Hrabarowej i towarzyszów. Nie dziw więc, że po śmierci Barwińskiego następuje zwrot w przeciwną stronę; w skład redakcyi *Diło* wchodzą niektórzy przedstawiciele „młodszego“ obozu, którzy równocześnie też zasilają pracami swemi *Zorję*, *Bat'kiwszczyznę* i inne wydawnictwa narodowców. Sojusz ten jednak trwał niedługo i obecnie przeżywamy dobę rozdwojenia między „starszymi“ a „młodszymi,“ rozdwojenia daleko ogólniejszego, chociaż mniej ostrego pod względem formy, niż w r. 1877—1882. To, co mogło się jakiś czas wydawać „zdobyczą polityki Barwińskiego“ — rozwiewa się i rozłazi samo, w miarę jak występują głębsze sprzeczności i przeciwieństwa. Nie dziw więc, że literatura albumów znowu się wzmaga. Z początkiem bieżącego roku wydano w Stryju album *Watra* (ognisko), na dochód miejscowego kasyna rusińskiego przez p. Wasyla Łukicza, jednego z najgorętszych zwolenników Barwińskiego. Wkrótce też wyjdzie *Album kobiecy*, wydany przez panie Natalię Kobryńską i Olenę Pczilkę, zaś wiedeńskie towarzystwo *Sicz* rozpoczyna wydawnictwo albumu na pamiątkę 20-tej rocznicy swego istnienia, a na dochód pomnika T. Szewczenki.

Przeglądowi treści i myśli przewodnich tych albumów poświęcimy następne szkice.

I. Franko.

POEZYA.

RYMY

autora „Strof.“

Germanizacya.

Miecz — często ludy pozbawia głowy...
Pięść — mózg ich płaszczy zdradziecko...
Wtłacza treść dawną do formy nowej
I w maskę stroi... niemiecką...

Lecz trudno godzić na... nazw zagładę,
Gdy je głos dziejów utrwali...
Wszak i rzymianie dumną Helladę
Jakąś... *Achają* przezwali...

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Odpust w Akademii krakowskiej. — Suma, która nudzi patronów. — Wygladanie energii — Bractwo konserwatywne. — Przechwałka. — Szafarka ofiarności. — Polskie a krakowskie. — Pożar Towarzystwa kred. ziems. i oddziały straży ogniowej. — *Kraj* w obronie swej stajni i jeźdca. — Główne punkty sporu. — Sprawa główna a niewyjaśniona. — Tryumf dobrej woli. — Wystawa hygieniczna.

Akademia paryzka urządza sobie bardzo ciekawe widowiska literackie, berlińska — bardzo mądre wykłady naukowe, a krakowska — bardzo ładne odpusty. Widzieliście może uroczyste nabożeństwa katolickie, przy których księża, odprawiający je, ustawicznie kłaniają się sobie, celebrantowi i Bogu. W Akademii krakowskiej arcybiskupem celebrującym jest hr. Alfred Potocki, biskupem-sufraganem dr Majer, kanonikiem śpiewającym St. hr. Tarnowski, patronem głównego ołtarza arcyksiążę Karol, a bogiem cesarz Franciszek. Podczas odpustu miewa kazania jakiś młody, wymowny kaznodzieja — tym razem dr Rostafiński.

Ostatnia uroczystość odbyła się przed kilku dniami według stałego regulaminu. Odśpiewane dawno ułożone hymny pochwalne, które jeśli doszły do uszu monarchy austryackiego i jego brata, z pewnością wywołały z dostojnych ust taką uwagę: ten poczciwy Majer powtarzaniem ciągłem jednej i tej samej modlitwy zamęcza siebie, a zanudza nas; doprawdy lepszą by nam okazał wdzięczność i hołd, gdyby coś mówił o tem, czemu Akademia służyć powinna. Jest to naturalnie tylko moje przypuszczenie, słuszne przy tym warunku, że sprawozdanie roczne hr. Tarnowskiego nie jest czytane przez „patronów“ w niebie Austryi. Bo złotousty profesor o *tem* zawsze mówi. W kazaniu tegorocznem np. oświadczył, że członkowie Akademii „od siebie żądają i *wyglądają*“ energii, że „*kto wie*, może dlatego Bóg zabiera czasem najtęższych i najdolniejszych (Szujski, Kalinka), ażeby drugich zmusić do najlepszego, jak być może, zastępstwa, że ci „drudzy“ jeszcze „nie mają powodu zniechęcania i nieufności do siebie.“ Słowem, jeżeli „Bóg czasu nie odmówi“ — a czemu by miał odmówić? — i gdy dla wzmocnienia sił słabych zabrał najtęższe, Akademia może spo-

kojnie „wyglądać energii“ w swem łonie, zwłaszcza zasilona obfitszymi niż dotąd środkami. Bo chociaż „instytucya *rośnie* w zaufaniu i poszanowaniu społeczeństwa,“ składający w jej kasach swoje fundusze, „mniej czują potrzebę popierania bezpośrednich jej celów“ i tylko „obierają ją za rozdawniczkę i szafarkę pomocy, jaką chcą świadczyć ludziom oddanym nauce.“ Hr. Tarnowski pociesza się, że to powoli ustąpi i że środki oddane do swobodnego rozporządzenia wzrosną, my zaś — kładąc tu kropkę ironii i mówiąc poważnie — sądzimy, że — nie. Dlaczego? Oto dlatego, że Akademia dopiero „wygląda energii,“ że jest ciałem martwem, jednostronnie i nie z najżywotniejszych pierwiastków zlepionem, że ona w „zaufaniu i poszanowaniu społeczeństwa“ wcale nie „rośnie,“ czego właśnie najwymowniejszym dowodem jest niedowierzanie jej rozumowi i celom w samodzielnem gospodarowaniu ofiarowanymi z zewnątrz środkami i ograniczanie do roli „szafarki.“ W innych instytucyach tego rodzaju widzimy naprzód różnolitość, a powtóre żywotność; tu zaś staranny dobór okazów prawomyślności chciwej wszystko zagarnąć, a nieudolnej wielu obowiązkom podołać. Niektórzy jej członkowie obdarzeni zostali godnością akademicką tylko dzięki swej „powadze“ — czemś, co często nie jest wyrazem ani wiedzy, ani pracy, ani talentu, ani zasługi, ale surową miną, ciężkim chodem, dużym majątkiem lub wpływowem stanowiskiem. Kto nie posiada książeczki legitymacyjnej, poświadczonej w gminie konserwatyzmu, ten nawet z wieńcem wawrzynowym na czole nie wejdzie do owego Olimpu. Można być pewnym, że gdyby p. St. Tarnowski nie był hrabią, profesorem uniwersytetu, arystokratą bogatym i chorążym pułku stańczykowskiego, ani pomyślanoby o mianowaniu go członkiem, tem mniej sekretarzem „najpoważniejszej instytucyi.“ Wielu „pozytywistów“ przerasta go i zdolnościami i zasługami, a chyba nikt ich z nim nie zmierzy. Akademia francuska jest francuską, niemiecka — niemiecką, ale krakowska — tylko krakowską, stańczykowską, konserwatywną, w każdym razie nie polską. Tego tytułu jej stanowczo odmawiamy, bo naród polski, nauka polska — to nie sam klucz stańczykowski z przyległościami, ich dwór i czeladź! Niechże więc hr. Tarnowski nie dziwi się, że dobroczyńcy, obdarzający Akademię funduszami, nadają im wyraźne przeznaczenie i nie pozostawiają jej uznaniu. Gdybym był jednym z nich, zrobiłbym to samo. Klika może być uczciwą, ale zawsze pozostanie kliką, budzącą zaufanie tylko w zakresie swych „bezpośrednich celów.“ Hr. Potocki opowiada z dumą: „Piastując *najlepsze* tradycye pracy naukowej, organizując je i skupiając w silne ognisko, aby je rozstrzelić *szerokim* płomieniem światła na społeczeństwo, wskazując *kierunki* i *potrzeby*, dostarczając środków, powołując do trudu coraz to nowych pracowników, spełnia ona godnie swoją misyę i chlubnie usprawiedliwia zaufanie, jakiem otacza ją kraj cały.“ To wszystko ma się stosować do Akademii krakowskiej? *Risum teneatis amici*! Ani tych „najlepszych tradycyj naukowych,“ ani „szerokiego płomienia“ wiedzy, oświetlającego społeczeństwo, ani „wskazywania kierunków i potrzeb“ umysłowych — nie dostrzegamy wcale w tej instytucyi. Widzimy tylko baterye dział ciężkiego kalibru i starej formy, które milczą pordzewiałe na wałach twierdzy i tylko w uroczystości galowe strzelają, nabite samym prochem. Do odporu wielkich obleżeń i wielkich bitew przeważnie niezdatne — udziału też w nich nie biorą. Raz społeczeństwo polskie miało małą prośbę do Akademii — o ustalenie ortografii — i tej drobnej usługi nim ona nie zrobiła. Że zaś od czasu do czasu wydaje rozprawy i dzieła, że wypłaca uczonym zapomogi — to samo robi skromna nasza kasa Mianowskiego bez hałasu, wysokich dostojeństw, dostojnego patronatu i całej maszynerji jasełek. Po ostatnim też odpuście Akademii, jak po uprzednich, kapłani, odchodząc od zakrystyi, powiedzieli do słuchaczów: na intencyę energii naszego opactwa zmówcie trzy wierzę w cesarza Franciszka Józefa, jego brata i syna, który wkrótce do nas przyjedzie.

Gorejąca miotła, ciśnięta przez p. Waliszewskiego z kolumn *Kraju* na dach Towarzystwa kred. ziems., zaalarmowała wszystkie oddziały straży ziemiańskiej, które z sikawkami pospieszyły na ratunek podpalonej instytucyi, i ściągnęła tłum oburzony, który doraźnym sądem postanowił, jak biednego Icka Wolanowskiego, rzucić winowajcę w ogień. Jednocześnie znalazły się na miejscu i organy śledcze oraz agenci od ubezpieczeń patryotycznych i obywatelskich. Wionęła wrzawa po całej prasie, Towarzystwo ogłosiło wynik urzędowego badania, posypały się protesty i złorzeczenia tak gęsto, że aż ów dom dziennikarski, z którego p. W. rzucił swój pocisk, *Kraj* uczuł w pierwszej chwili trwogę i osłonił swą niewinność gospodarską odpowiedzialnością gościa. Spór zamotał się głównie na dwu punktach: czy polscy właściciele dóbr wystawianych na subhastacyę przed ostatecznem uprawnieniem się sprzedaży niszczą i rabują majątki na swą korzyść i szkodę nabywcy, oraz czy tej „dewastacyi“ Towarzystwo sprzyja a zapobiedz może? Są to dwie sprawy całkiem rożnej natury i wagi. Co do pierwszej nie ulega ona wątpliwości, o ile też pamiętamy, żaden z pogromców p. Waliszewskiego owej grabieży na tonącym okręcie nie zaprzeczał. Inna kwestya, czy Towarzystwo ją toleruje i mocą obecnej swej ustawy nadużyciom zapobiedz może. Odpowiada ono, że — nie. *Kraj*, który rycerzowi „bachmata ze swej stajni na ten bój podał,“ występuje z obroną, której sensem moralnym jest wniosek, że Towarzystwo zawiniło, że grzeszy, poprawić się może, a wtedy powinnoby p. Waliszewskiemu poświęcić „przynajmniej zaszczytny napis na marmurowej tablicy w głównej sali.“ W całym tym wszakże wywodzie więcej znajdujemy zręczności adwokackiej w wyzyskiwaniu słabizn przeciwnika, niż spokojnego, gruntownego i bezstronnego sądu. Obrońca istotnie wykazał, że przy sprzedaży jednego majątku odbyła się grabież, że wierzyciel poniósł szkody, że urzędnicy Towarzystwa prywatnie uczestniczyli w układach uwzględniających interes subhastowanego, ale wcale nie dowiódł, że Towarzystwo, jako władza, okryło swym płaszczem szacherkę, że może niszczenie dóbr licytowanych zatamować, oraz że hypoteka ziemiańska u nas nie posiada dla kredytu żadnej wartości. „Zadanie (powstrzymania grabieży) — mówi *Kraj* — należy do *bezwarunkowo* możebnych, bez uciekania się do władzy prawodawczej; może się ono uskutecznić wprost przez zapoczątkowanie odmiennego od dawnej i zakorzenionej rutyny trybu postępowania, w *niczem* niewykraczającego przeciwko ustawie, z *lekkiemi* tylko zmianami w prawidłach (?) autonomicznych, w przepisach i instrukcyach, i z gotowem a już *zewsząd manifestującem się* poparciem ze strony ziemian, członków Towarzystwa.“ Pomijając ważny objaw, że owo „zewsząd manifestujące się poparcie,“ że szerokie żądanie reformy, które nawet wyraziło się w zbiorowem piśmie obywateli kaliskich, nie jest bynajmniej dowodem zupełnej bezwartości kredytowej hypotek ziemiańskich i stanowi dość chlubne świadectwo dla „najgorszych dłużników,“ w powyższej radzie *Kraj* nie wychodzi po za granice ogólnika i szczegółowym rozbiorem przepisów możliwości usunięcia nadużyć nie wskazuje. To też dziś wobec aktu publicznego oskarżenia i wobec uznania faktu rabunków ze strony interesowanej, najważniejszą kwestyą nie jest to, jak sprzedano Russów lub Małą Wólkę, ale to, jak Towarzystwo winno postąpić, ażeby grabieżom majątków subhastowanych zapobiedz i kredyt hypotek ziemiańskich usunąć. Rycerzowi tej sprawy niech *Kraj* „poda bachmata ze swej stajni.“

Warszawa obchodzi bardzo piękne święto tryumfu dobrej woli, szlachetnych usiłowań i wytrwałej energii. Mówię o wystawie hygienicznej, którą otwarto na placu Ujazdowskim. Jakiem ona jest zwycięztwem tych, którzy ją mozolnie stworzyli, a jakiem zawstydzeniem dla tych, którzy na nią w zalążku dmuchali nierozważną naganą i szyderstwem, jak pouczający obraz stanowi dla ogółu — o tem powie nasz sprawozdawca. Ja tylko radzę czytelnikom moim: uprzytomniwszy sobie, że to jest dzieło szczupłego kółka ludzi prywatnych, sił słabych, środków ubogich, idźcie i zobaczcie, a może opuszczając wystawę, powiecie: nietylko z cegieł i brył kamiennych, ale i z ziarnek piasku przy wietrze piękne budowle wznosić można.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Projekt *Dziennika łódzkiego*. — Wędka na dobre uczynki. — Przyjaciółka uczniów. — Upadek ofiarności publicznej. — Hojny szlachcic dla... Kamerunu. — Smutna dola *Tygodnia* piotrkowskiego. — Rzemieślnik w matni lichwiarskiej. — Podstęp jarmarczny. — Coby się przydało naszym włościanom? — Spory o szkółki wiejskie. — Oświata z przeszkodami. — Gorliwość władzy gminnej. — Walka chłopa z niemcami o szkołę. — Żale wieśniaczki i zachwyt *Korespondenta płockiego*.

Dziennik łódzki podaje projekt opodatkowania na cel dobroczynny wichrzycieli szynkowych. Niezła myśl, gdyby nie to, że ci ludzie za wiele mają wszelkich innych podatków, opłacanych, zanim się jeszcze pieniądze zarobione do własnego trzosa dostaną. Natomiast radziłbym pomysł ten pierwej zastosować do zbyt gorliwych wyznawców szampana, węgrzyna i innych napojów ożywczych. Krzewiciele dobra, piękna i prawdy przynieśliby w takim razie namacalną korzyść cierpiącym, nad których położeniem boleją tak serdecznie. Podstępny haracz na miłosiernych w słowie bywa często skutecznym. Gdzie się nie uda jałmużny zebrać, tam należy oko i ucho bawić, lub podniebienie łechtać. Skromne odsetki z ogólnej sumy wrażeń przyjemnych, ściągnięte na korzyść publiczną, dają świadectwo uczestnikom o rozwoju ich uczuć społecznych. Na koncerty i bale „studenckie“ spieszą gromadnie ludzie (przeważa zawsze płeć piękna), wyścigając się nieraz naddatkami. Dzieje się to nietylko w Warszawie, lecz w innych miastach (z powodzeniem w Mińsku Litewskiem). Za sporą baterye butelek „wysuszonych,“ zdarte pantofelki, nieznaczne zużycie siły palców i strun głosowych, młodzież ma w przybytkach nauki otwarte nadal podwoje, zamykane przed natrętami, co nie przedstawiwszy opłaconego prawa wstępu, próbują próg do czasu przeskakiwać, zanim się nogi przytną. Na Ukrainie znalazła się przyjaciółka i pocieszycielka zrozpaczonych, samodzielnie ułatwiająca słabym stąpanie po szczeblach wiedzy. Od pięciu czy sześciu lat — opowiada *Wiek* — jakaś „pani“ systematycznie odwiedza miasta w okręgu naukowym kijowskim przed egzaminami w gimnazyach. Serce jej czułe lgnie przeważnie do uczniów klasy ósmej, którym proponuje kupno od siebie tematów egzaminowych za... *czterysta* lub *pięćset* rubli. Nie zapewnia stanowczo nieomylności w swem przeczuciu, ale jest o tem „moralnie przekonaną“; nie żąda też zapłaty za wykrycie tajemnicy, lecz tylko skromnej zaliczki w kwocie 100—150 rs., które w razie zawodu zwróci natychmiast. Załatwiwszy się tak w jednem miejscu, jedzie dalej obdarzać dobrodziejstwem in-

nnych. Uczniowie łatwowierni chciwie opracowują kupione zadania, w końcu się okazuje, że te są fałszywe. „Dama“ później nieciekawa dowiedzieć się, czy jej przeczucie nie omyliło. Wiadomość tę *Wiek* kończy sentencyą, „iżby młodzi chcieli brać naukę, że najprostszą, najmniej kosztowną i utrudzającą drogą do celu jest droga prosta.“

W ostatnich czasach przeglądałem w pismach ciekawe rubryki ofiarności publicznej. Bardzo się zmniejszyły pewnie „wskutek stagnacyi ogólnej,“ ulubionego frazesu wszystkich niemal korespondentów. Rzecz szczególna, iż najmniej przypada ofiar dla młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej w chwili najkrytyczniejszej. Egzamina się rozpoczęły; wielu jest takich. którym nie wolno spowiadać się z wiedzy nabytej w ciągu roku, gdyż nie kupili na to prawa. Kto do dnia ostatniego nie ma odpowiedniej sumy, będzie skazany na przeżuwanie jeszcze rok tego, co już spożył. Rzekłbyś, iż serca się wyziębiły, lub stwardniały pod jakimś strasznym ciężarem. Gdzie tam! Mamy świeży dowód gorącego odczuwania potrzeb publicznych. Jakiś obywatel z Kieleckiego — według *Kaliszania* — przeznaczył *sto tysięcy* rubli na wyprawę Rogozińskiego do Afryki. Jeśli to prawda, możemy się szczycić przed całym światem szerokością uczuć ludzkich. Dla dobra mieszkańców zamorskich posuwamy się do zaparcia samych siebie, budzimy na małą skalę tradycyę odsieczy wiedeńskiej. Taka dobroć bezgraniczna powinna zobojętnieć na wstyd, jeśli się zbudzi w następującym wypadku: *Tydzień* piotrkowski, schudłszy nagle, przemówił głosem drżącym do swych czytelników. Tłomaczy się, dlaczego mu połowy ciała ubyło; lichy ma posiłek, gdyż przeszło 600 rubli zalega u przedpłacicieli. Za bieżący kwartał ledwie czwarta część ogólnej liczby abonentów wniosła należność. Po dziewięciu latach lepszej tuszy znowu szkielet będzie się tułał po sennej ziemi piotrkowskiej. „Skalę własnych wymagań musimy zniżyć i zastosować do *znacznej większości* czytelników; musimy poprzestać na traktowaniu wszystkich spraw w streszczeniu... Mamy nadzieję, że szereg ludzi poważnych i wytrawnych, dla których życie nie jest czczą zabawką i synonimem użycia, z czasem się powiększy. Wówczas znów popłyniemy śmielej i nasza będzie wygrana!“ Długa wytrwałość pisma godna jest szacunku. Ale skąd w niem taka wiara niezachwiana w lepszą dolę? Intruz wciskający się do domów, któremu trzeba dawać „pięć złotych“ kwartalnie, nie może mieć sympatyi i posłuchania u swoich. Piotrkowianie mają zapewne ważniejsze sprawy na głowie, bo inaczej czyżby zapomnieli o zapłaceniu prenumeraty? Trudno przecież posądzić ich... o zamglone sumienie.

Gdy ucywilizujemy i uszczęśliwimy Kamerun, może przyjdzie kolej na rozejrzenie się w swojej chałupie. Wtedy nie będą zbyt często powtarzać się takie np. wypadki. W Łodzi, jak donosi miejscowy *Dziennik*, pracowity i pilny rzemieślnik, zmuszony gwałtowną potrzebą, w styczniu r. z. zaciągnął pożyczkę 25 rs. na weksel płatny za miesiąc. Nie mając na termin całkowitej sumy, tylko cząstkę tytułem procentu wypłacił i wystawił nowy weksel na miesiąc. Tak się powtarzało dalej; do maja r. b. dłużnik zapłacił lichwiarzowi 58 rubli procentu, nadto wystawił weksel na 40 rubli, płatny w czerwcu. Tym sposobem daje za pożyczkę 25 rs. rocznie mniej więcej 195%! Obok tak strasznej lichwy podstępne działania na rynkach prowincyonalnych również szerzą się bezkarnie. Wąchock ma stowarzyszenie „aferzystów,“ z szeregiem praktykantów długopołych, wysyłanych w czasie jarmarku między chłopskie wozy. Gdy włościanin zażąda 2 rubli 25 kop. za korzec owsa, obiecują mu sprzedać po 2 rs. 70 k. do 3 rubli, zapewniając sobie faktornego tylko po 15 kop. W godzinę chłopi podwyższają cenę ustaloną. Naturalnie iż skutkiem tego sprzedają bardzo mało, natomiast sprytni spekulanci robią świetne interesy.

Szkoda, iż szkółki ludowe o zbyt szczupłym zakresie nie mogą tłomaczyć swym uczniom najprostszych zjawisk ekonomicznych, których nieznajomość wyrządza klęski w gospodarstwie ociężałych włościan. Marzenie o rozszerzeniu w tym kierunku wiedzy praktycznej ludu jest zuchwalstwem wobec ciężkich warunków oświaty w wielu miejscach. W Lubelskiem na porządku dziennym spory o zamiany szkółek sielskich na gminne. Niektóre wsie nie chcą składek opłacać nie ze wstrętu ku nauce, tylko z powodu wielkiego oddalenia od siedliska wiedzy. W powiecie zamojskim, na granicach janowskiego i krasnostawskiego są wąwozy, parowy trudne do przebycia, ciągnące się odłamki Karpat (góry Miodoborskie) od Galicyi ku Lublinowi. W zimie zatem niepodobna posyłać dzieci do szkółki o 5—7 wiorst, bo utonęłyby w śniegach bez śladu. Zarządy gmin tego nie uwzględniają, sądząc, iż swoją gorliwością robią dobrodziejstwo. Posuwają się nawet do fortelów. Włościanom, którzy dawniej już wnosili składkę, wmówiono (jak pisze *Gazeta rolnicza*), że przez głosowanie za ogólną opłatą gminną taniej im z morga wypadnie; tym sposobem większość głosów zyskano, ale nie na długo; chłopi wyparłszy się przyrzeczenia, podali podobno prośbę do Senatu o zwolnienie z ciężaru. Wójt, głuchy na to wszystko, pod naciskiem władzy powiatowej przybywa do wsi ze strażą na egzekucyę i wyjeżdża bez skutku, gdyż mieszkańcy chowają się do chat i szczelnie drzwi zamykają. Temat do obrazka sarkastycznego. Chłop rozpaczliwie broni się od światła, niestety, na słusznej zasadzie, zaryglowuje się przed bratem ciemnym, z pochodnią w ręku, którą mu nieść na oślep kazano! Lepiej w Mławskiem— a wypadek tem ciekawszy, iż tu się toczy walka plemienna. Przed laty czterdziestu, wieś Pruszkowo rozparcelowaną została przez ówczesnego właściciela na działy, które włościanie i koloniści niemieccy rozkupili. Sprzedawca wyłączył jeden budynek, a przy nim kilka morgów gruntu, przeznaczając to wszystko na szkołę i użytek jej nauczyciela. Dom ten bezprawnie zajęli niemcy i osadzili tam bakałarza, swego rodaka. Lud miejscowy utracił możność korzystania z nauki. Trwało to do roku zeszłego, aż nareszcie energiczny chłop, Balcer Pazik, wystąpił przeciwko nadużyciu. Za jego staraniem władza szkolna przeznaczyła do Pruszkowa polaka. To wywołało tak wielkie oburzenie między kolonistami, iż odmówili składki i mieszkania nauczycielowi.

Wypadek powyższy notuje *Korespondent płocki*. W temże piśmie jakaś *wieśniaczka* śpiewa długo również na nutę potrzeby szkoły na wsi, ale... dla sług wogóle, a wszczególności dla klucznic, pokojówek i dziewek folwarcznych. Strapiona gosposia wyrzeka na swoją dolę: „o obowiązkach codziennie przypominać trzeba, bo pannie służącej się zdaje, że służąc, łaskę robi.“ Wstydzi się „masy szczegółów,“ związanych z jej obowiązkami. Szkoda, że autorka świetnego pomysłu nie podaje programu takich akademii. Redakcya opatrzyła od siebie artykuł dopiskami, zachwycając się nad projektem „decentralizującym sprawę społeczną“ (!!). Ile to już genialnych pomysłów wylęgło się w naszych głowach! Gdyby choć setną część ich urzeczywistnić, kto wie, czy nie stanęlibyśmy na wyżynie niedościgłej przez świat cywilizowany.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Mimowolny humor. Zakład kąpielowy siarczany w Lubieniu (Galicya) ogłasza w pismach, że zapewnia gościom rozmaite „rozrywki,“ a między innemi, jak bilard, kręgielnie, strzelnica, także „mszę w kaplicy codziennie.“ Musiał to ogłoszenie układać jakiś arystokrata.

Kolej petersburska zaprowadziła bilety na porę letnią tańsze od zwykłych o 65% i dozwalające na przejazd wszystkimi pociągami. To jest po europejsku. A cóż na to linie: nadwiślańska, terespolska, wiedeńska i bydgoska, po których w czasie lata krążą do rodzin tłumy niezamożnych ludzi? Pozostają przy dawnych udogodnieniach, dających ten tylko przywilej, że wykupując bilet do przystanku, płacić trzeba do stacyi, a kupując go na przystanku, dostać można jedynie do następnej i tam wysiadać po raz drugi. Powiedzielibyśmy, że wszystkie te porządki są azyatyckie, gdybyśmy nie obawiali się skrzywdzić Azyi. Koleje nasze pod względem ułatwień ruchu pasażerskiego znajdują się dopiero w początkowym okresie rozwoju i nie przypominają Europy. W ostatnich latach Warszawa w długim promieniu otoczyła się wiankiem letnich mieszkań, które spotęgowały ruch pasażerski i które powinny były wywołać dawno znane za granicą udogodnienia. Ale co to obchodzi nasze zarządy kolejowe, kiedy one za przejazd nie płacą! Dopiero kolej petersburska zrobiła dobry początek.

Teatr warszawski przedstawił komedyę Dumasa *Francillon*. Po ukazaniu się tej sztuki w Paryżu korespondent nasz szczegółowo o niej pisał; nie podejmujemy więc nowego rozbioru, tem więcej, że na długie rozprawy o maniackich zagadnieniach autora, kręcących się w błędnem kółeczku, szkoda czasu i atłasu. Kto ma obu wiele, niech je marnuje. Dla nas Dumas jest jednym z najbardziej utalentowanych scenistów i jednym z najgłupszych myślicieli.

Ciekawy artykuł zamieściła *Biblioteka warsz.* w zeszycie kwietniowym. Jest to kartka z dziejów dobroczynności publicznej Warszawy, dotycząca szpitala Dzieciątka Jezus. Autor szczegółowemi cyframi dowodzi istotnie dziwnych faktów, że szpital ten przewyższał 9 innych razem w niektórych wydatkach, oraz że koszt jego utrzymania w tym okresie przenosił o 1,493,148 rs. 5 kop. rozchody poprzedniego 16-lecia, podczas gdy liczba chorych była mniejszą o 185,526 osób. Drobiazgowe, ścisłe i na poważnym materyale statystycznym oparte obliczenia p. W. A. Sułkowskiego, stawiają mnóstwo znaków zapytania.

Konkurs. Z 43 utworów nadesłanych na konkurs Lutni, otrzymała nagrodę kompozycya Zygmunta Noskowskiego pod godłem „Naprzód.“ Druga, uznana za najlepszą z kolei pod godłem „Przeszłość i teraźniejszość,“ jest tegoż autora.

Bezrobocie urządzili w d. 18 maja konduktorzy tramwajowi w Warszawie z powodu wielkiego obciążenia pracą.

Zapis. Zmarły w r. 1883 ks. Wojciech Bonkalski, cały majątek, przeszło 17,000 rs., zapisał na dom księży emerytów w Królestwie. Pieniądze te przelane będą do specyalnych funduszów skarbu państwa, z których wypłacaną bywa księżom emerytura. Krewni zamierzają starać się o unieważnienie testamentu z powodu, iż zmarły uczynił zapis na rzecz nieistniejącej już instytucyi.

Russk. Wiedomosti podają następujące szczegóły projektu nowej redakcyi artykułu kod. kar. o dyfamacyi. Prawdziwość hańbiącego zarzutu w druku może być dowodzona wszelkimi sposobami i środkami. Wzbroniono ogłaszania okoliczności hańbiących o zagranicznych panujących lub przedstawicielach dyplomatycznych i wogóle szczegółów życia prywatnego lub rodzinnego. W projekcie dane wskazówki prawidłowego określenia odpowiedzialności pism peryodycznych. Z powodu wielkiej trudności sprawdzenia na miejscu dostarczanych szczegółów przez korespondentów i współpracowników, niema odpowiedzialności za ogłoszenie nieprawdziwego doniesienia, jeżeli sąd przekona się, że redaktor miał wyrozumowaną zasadę do wierzenia w prawdopodobieństwo faktu i że publikacya zrobioną została w interesach dobra państwa lub społeczeństwa, nie zaś w celu wywołania skandalu.

Hamulec. Na drodze wiedeńskiej odbyła się próba ulepszonego hamulca. Pociąg z 5 wagonów osobowych i brankardu wyprawiono do Skierniewic i odwrotnie z szybkością 63 wiorst na godzinę. Na znacznym spadku pociąg wstrzymano na przestrzeni kilkunastu metrów.

Ostatni zaporożec, Iwan Rossołoda, liczący 117 lat, żyje jeszcze we wsi Czernyszówka, gub. jekaterynosławskiej, jak donoszą *Mosk. Wied.*

Dobra Pieskowa Skała pod Ojcowem nabył hr. Sobiesław Mieroszowski.

Na regulacyę Wisły udzielono zapomogę 800,000 rubli z funduszów użyteczności publicznej. Warszawa przyjęła na siebie roboty regulacyjne w obrębie miasta.

Józef Chociszewski, autor popularnej historyi polskiej, której dotąd rozeszło się 70,000 egzemplarzy, skazany w procesie prasowym, odsiaduje w Prusach więzienie z zastosowaniem najostrzejszych przepisów. Gdy przy rewizyi znaleziono w kieszeni karteczkę od żony, skazano go za to na zamknięcie w ciemnicy o chlebie i wodzie co trzeci dzień przez cztery tygodnie.

Gorzelnia, wyrabiająca tylko spirytus wyłącznie z jabłek, otwartą została pod Łowiczem.

Młodzi sądownicy warszawscy otrzymali powtórnie propozycyę zajęcia posad wyższych w Azyi środkowej (w Taszkiencie i na granicy Afganistanu).

Sztuka. Akademia sztuk pięknych w Petersburgu nabywa do swych zbiorów obraz Siemiradzkiego „Chrystus u Maryi i Marty."

P. Gustaw Fiszer, artysta teatru lwowskiego, dał w Warszawie cztery przedstawienia na rzecz Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi. Dochód czysty wynosi 2,234 rs. 10 kop.

Zmiany w instytucie inżenierów dróg i mostów uzyskały już zatwierdzenie. Kurs pięcioletni. Wstęp mają młodzieńcy kończący średnie zakłady naukowe, ale po złożeniu egzaminu dodatkowego z matematyki i fizyki. Wychowańcy uniwersytetów wstępują bez egzaminów. Kandydaci nie mogą mieć więcej, niż 22 lat. Liczbę słuchaczów na wszystkich kursach ograniczono do 300. Opłata roczna 100 rs.

W Inowrocławiu wszystkie pisma polskie na sezon tegoroczny zostały przez ministra zakazane.

Szkoła techniczna w Lublinie ma być zwinięta sposobem corocznego zamykania jednej klasy.

Do Medyolanu dla wzięcia udziału w kongresie kolejowym wybierają się przedstawiciele tutejszych dróg żelaznych.

Sąd okręgowy w Warszawie polecił adwokatom przysięgłym prowadzenie ksiąg kasowych dla wydawania klientom kwitów sznurowych na otrzymane od nich honorarya. Uchwała ta od 13 lipca r. b. będzie obowiązującą.

W Lublinie odbyła się doroczna wystawa koni włościańskich. Dostarczono 100 sztuk. Nagrodę otrzymał włościanin ze wsi Bodaczów.

Koleje żelazne brzesko-włodawsko-chełmska i siedlecko-małkińska, oddane zostały pod zarząd terespolskiej.

Zamach. W Astrachaniu, jak piszą *Russk. Wied.*, do gubernatora generał-majora Zeumerna, na schodach izby skarbowej strzelił z rewolweru kancelista Konstanty Gawriłow. Gubernator ciężko raniony. Morderca zachowuje się zuchwale.

P. Manassein. minister sprawiedliwości, opracował projekt reformy ustaw sądowych Aleksandra II. W pewnych punktach ma nastąpić powrót do czasów przed reformą. Projektodawca w myśl tego żąda, ażeby znaczna część spraw kryminalnych była wyjęta z pod kompetencyi sądów przysięgłych i oddana koronnym, co najwyżej z udziałem przedstawicieli stanów.

Opłata szkolna w III-em gimnazyum filologicznem w Warszawie została podwyższoną o 6 rubli rocznie. Uczniowie klasy przygotowawczej od nowego roku szkolnego będą musieli płacić po 30 rs., w ośmiu następnych klasach po 46 rs. rocznie.

Towarzystwo muzyczne w Łodzi otrzymało zatwierdzenie ministra spraw wewnętrznych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Po tylu miesiącach nie możemy pamiętać, z którego pisma rosyjskiego poczerpnęliśmy wiadomość o „strzechach ogniotrwałych."

L. K. Oryginał ma wartość, a o przekładzie będziemy mogli sądzić dopiero po ukończeniu druku.

P. A. Kwiat. w Suwałkach. Metoda Raspaila jest od dawna znaną i wypróbowaną; pański więc dla niej dyplom bezwzględnego uznania nikogo by nie przekonał, tembardziej, że jest tylko szeregiem gołosłownych twierdzeń.

Bezimiennemu. Jeżeli tak było, to z przyjemnością prostujemy, że nie z winy właściciela spadł robotnik z rusztowania przy ulicy Chmielnej.

Demokracie. 1) wyzyskiwanie pieniężne kraju, 2) występowanie właściwości odległych przodków w potomkach.

P. J. L. Wyjaśnienie niemożliwe.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczte zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Мая 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.